

NASA GOLDKA

Nie należę do tych mych ziomków, którzy uważają, iż *nasa goldka* - to znaczy: *po naszymu*, a to je *po ślonsku* - jest odrębnym językiem; nie widzę także potrzeby stwarzania odrębnego języka śląskiego. Używając polskiego języka literackiego nazywam naszą górnośląską mowę rodzimą niekiedy dialektem a zazwyczaj gwara; mówiąc bądź pisząc po niemiecku używam pojęcia *Wasserpolnisch**, gdyż jest one jako jedyne - chociaż w coraz mniejszym stopniu - uświadomić Niemcom spoza Śląska o jaki dialekt właściwie chodzi. Każde gaworzenie o *oberschlesischer Dialekt***, wypływające z faktu, iż *Wasserpolnisch* było faktycznie poprzez długi czas określeniem tylko negatywnym, wzbudza w nich nadzieję usłyszenia języka Gerharta Hauptmanna z jego „Tkaczy” bądź „Hanusi”***. Używam więc określeń *gwara* oraz *Wasserpolnisch*, gdyż osobiście nie uważam pojęć tych za *nasej goldce* uwłaczających, ale za ją precyzujące. Moja wyżej zdefiniowana postawa nie pozostawia mnie bynajmniej obojętnym na to, co się ze śląskim dialektem dzieje. A dzieje się źle.

Nasa goldka przetrwała stulecia. Po roku 1945 zaczęto nam, którzyśmy ją w co najmniej setnym pokoleniu wysłali z mlekiem naszych matek, wma- wiać, jak bardzo była ona przez Prusaków - czyli Niemców - tępona; in- aczej: *cego łona to za Bismarcka wysytkygo nie wystola*. Faktycznie jednak dobrali się do niej dopiero Polacy po 1945 roku z tego prostego powodu, gdyż nią się posługujący mogli poczuwać się Niemcami - co też jest po dziś dzień fenomenem nader częstym, a w innych pismach przeze mnie opisanym.

Z powyższego powodu, psioząc przy tym na Bismarcka, tępili Polacy śląską gwara. Świętą tę batalię kontynuuje się niestety także po roku 1989, zmieniono tylko metodę. Pozornie dopuszczono w latach dzie- więćdziesiątych śląskie gwary do łask, zaczęto organizować konkursy, wydawać teksty; równocześnie zaczęto belkotać o „śląskiej gwarze bez naleciałości”. A jako że śląskiej gwary bez naleciałości nie ma - także w Teksasie nie - tworzy ją się. W „Radiu Opole”, w „dzieliach” śląskich „Po- laków z krwi i kości”, w przyczynkach na konkursy gwarowe w Katowic- ach i Lubnianach.

Ostatnio miałem okazję w regionalnym czasopiśmie „Beczka” - które jako takie należy do tych niewielu rzeczy na świecie, zmiatających ich ja- kością kapeluszy z mojej głowy - przeczytania dwu takich „dzieł”, powstałych pod patronatem widocznie bardzo „patriotycznie” nastawio- nych pań magister. Prace były napisane niczym innym, jak ześląszczonym językiem ogólnopolskim.

Argument: „W ostatnich dziesięcioleciach polski język literacki wyparł germanizm z gwar śląskiej”, w obliczu czego szukam dziury w całym, nie łapie, gdyż ja nie dziury, jeno bogactwa szukam, a sprawa ma się do siebie tak:

Jak już powyżej stwierdziłem, gwara śląska przetrwała stulecia. Zacho- wanie jej w tej formie, w jakiej przetrwała, jest bogactwem; powolne jej „rozpuszczanie” w języku ogólnopolskim - stratą. Stratą dla: Ślązaków, Polaków, Polski, kultury europejskiej, kultury światowej. To tak, jak gdy- by przeprowadzano operacje plastyczne ócz polskich Tatarów, ponieważ nie mają one zarysu słowiańskiego. A takich poczyniń nie można zbyć cytatem z Schopenhauera „Dureń na zawsze pozostanie durniem, bałwan bałwanem, choćby go w raju otaczały hurysy”, bo nie o głupotę tu chodzi, ale o premedytację.

Wbrew powyższemu - jako że zbyt dobrze znam skutki manipulacyjnych metod wychowawczych - nie uważam, iż każdy, kto wierzy, że polszcze- niem gwary śląskiej przyczynia się do ratowania Macierzy, czyni to ze złej woli. Osobom tym pragnę zwrócić następującą uwagę: Bycie elitą, podobnie jak szlachectwo, zobowiązuje. Bycie elitą pozbawia prawa do takich „ludzkich” cech jak głupota, nierozgarnięcie, nieodpowiedzialność, służalczość „królewietom”; uchodzą owe jedynie tłuszczy.

Polszczone są zresztą nie tylko germanizmy, ale także typowe, w polskim

DIE UMTRIEBE EINER SENATORIN

In letzter Zeit schien es, als habe in punkto deutsche Kultur und Min- derheit in Oberschlesien, die Oppelner Senatorin Prof. Dr. Dorota Sii- monides Kreide gegessen. Der Grund: Sie wollte das ihr verliehene Bundesverdienstkreuz nicht gefährden.

Jetzt, da sie es hat, sorgt sie für neuen Eklat. Sie will ein Buch über die Multikultur im Oppelner Oberschlesien durchboxen. das die "Ga- zeta Opolska" als "Buch des Zankes" apostrophiert. Der als sehr ge- mäßigt geltende deutsche Sejm-Abgeordnete Henryk Kroll hat eine Ungültigkeitsverfügung für den dafür ausgeschriebenen Wettbewerb gefordert, da in der Jury von 16 Personen kaum zwei die deutsche Minderheit repräsentieren". (Zu der sich fast ein Drittel in der Region bekennt). Kroll schreibt von einer "sich geradezu in die Augen wer- fenden Diskriminierung der Deutschen."

Es setze sich- nämlich das Konzept der Simonides durch, das "das Po- lentum der Region hervorhebt und die deutschen Verdienste um seine Entwicklung schmälern will, die deutsche Kultur des Oppelner Lan- des zur Dorfkultur degradiert, wie das in früheren Jahren von ihr ge- schehen ist." Die neutrale polnische Juryvorsitzende Prof. Joanna Roztropowicz, eine überzeugte Europäerin, schreibt von einem "ein- seitigen und polnozentrischen Buch" der Simonides. Kroll spielt auf ihre Vergangenheit an. Denn: Dorota Simonides, Professorin von No- menklaturagnaden, kommt aus der Blockflötenpartei SD (Demokrati- sche Partei), die sie im Auftrag der Kommunisten jahrelang im kom- munistischen Sejm vertrat. Wer ihre Elaborate von damals las, wusste wie treu sie der "polnischen Staatsräson" roter Prägung diene.

Nach der "Wende" mauserte sie sich zur Liberalen in der UW (Frei- heitsunion) und sie versuchte sich gar als Mittlerin zwischen Deut- schen und Polen.

Als sie das Bundesverdienstkreuz erhielt gingen körbeweise von Pro- testbriefen nebst übersetzten Auszügen aus ihrer Publizistik im Berli- ner Bundespräsidialamt ein. Deutsche Besucher in Oberschlesien mußten sich denn die Frage stellen lassen, wer die Frau zum deut- schen Orden vorgeschlagen hat? Kurioserweise will sich dazu heute keiner bekennen.

Der Träger der "Europamedaille" und frische Ehrenbürger seiner Hei- matstadt Oberglogau/Glogowek, Joachim G. Görlich meinte: "Wenn ich die Professorin gut verstehe, so betrachtet sie die deutschen Ober- schlesier als so eine Art germanisierte Polen. Mich würde interessie- ren ob die Dame dazu auch die vielen oberschlesischen Nobelpreisträ- ger mit Konrad Bloch an der Spitze, den Schriftsteller Hans Lipinsky- Gottersdorf (eigentlich von Poray -Lipinsky), der sich stolz als "preu- ßischer Wasserpolacke" bezeichnete, den Filmstar Georg Thomalla, die Kolatursängerin Erna Sack, meine Komponisten Kollegen Micha- el Jary und Günther Bialas sowie andere Promiente der deutschen Kultur, zählt ? Aber vielleicht erfahren wir noch mal von ihr 'wissen- schaftlich' untermauert, daß unser Eichendorff gar Dębowiejski hieß. Von Europareife kann bei der Simonides nicht gesprochen werden. Sie lebt noch in alten Klischees. Eigentlich schade."

Gisbert Kockot

języku literackim nie spotykane zwroty gwarowe oraz archaizmy. To niewybaczalny, o pomstę do nieba wołający sposób pozbawiania gwary śląskiej jej autentyczności - ale widocznie jest druzgocący wyrok historii owym „bojownikom o jedynie słuszną sprawę” w ich zapamiętaniu niestraszy.

(Tutaj pewna ciekawostka: Na przełomie lat 60-tych i 70-tych XX-go wieku spotkałem w Opolu pewną studentkę polonistyki, która typowe sienkiewiczowskie wyrażenia, używane przeze mnie pod wpływem lektury *Trylogii*, uważała za germanizmy a tym samym za powód, aby skarcić ostro mój sposób wystawiania się językiem Wieszcza).

To rozmyślne wchłanianie *nasej goldki* poprzez język ogólnopolski jest także ogromną stratą dla kultury niemieckiej. Nie wiem, w jakiej mierze jest światłym Polakom świadom fakt, iż dla setek tysięcy Niemców - Niemców z przekonania, nie z obywatelstwa - jest gwara śląska językiem pierwszym, czyli rodzimym. To oni właśnie dają niemieckości także bogaczącą polską nutę; analogicznie czynią to - i już od średniowiecza czynili - polscy Niemcy w Polsce.

Kiedyż, Drodzy Państwo, zapagniemy w końcu pozostawić tylko polskość bądź tylko niemieckość duchowej nędzy zaścianków i chorym mózgom szowinistów?

Alfred Bartylla - Blanke

Postscriptum: Jak wynika ze „Słownika Wyrazów Obcych”, Wydanie Nowe, pierwsze, PWN 1995, więcej haseł przejął język polski nie z „bratnich języków ościennych” lecz bezpośrednio lub pośrednio z „wrażego” języka niemieckiego. Wymienię tutaj tylko trzy: szlachta, kresy, rota.

Czyżby sprawa miała się do siebie tak, iż fakt powyższy tak bardzo boli

ŚLĄSKIE REFLEKSJE NAD KISSEM

Wyobraźnię Augusta Kissa, w jego wybranych rzeźbach okresu Kłasycyzmu niemieckiego zobaczymy starożytną selektywnie wybraną historię Egiptu, Grecji czy Rzymu, opartą na legendach, mitach i wykopaliskach.

Porównywalnie, współczesny Śląsk, w oczach współczesnych XX wieku pokazywany został „identycznie” - we własnej wyobraźni - nie w prawdzie, z historią taką trochę zamydloną, pasującą tworzącym nowe nurty ideologiczne, dla ich wygody, na ich sposób interpretowany. Sелеktywne pokazywanie tu prawdy o Śląsku służyły celom aktualnie zawsze utrzymujących się u władzy - prawdy selektywnej, jako karma przetrwania danego systemu. Mówiło się to, co aktualnie pasowało dalej w realizacji własnych celów.

Stąd August Kiss wybiegł naprzód, pokazywał „mity starożytnych” neutralne, wyselekcjonowane, pasujące do jego ogólnej twórczości z ukrytym celem jego globalnej kariery.

Jest on „Mahnerem” - ostrzegającym nas przed czyhającymi niebezpieczeństwami, przeciwnościami.

Z twórczości Augusta Kissa, w jego rzeźbach, przetrwały do dzisiaj, po 170 latach, dla dalszych pokoleń m.in. „Amazonka”, „Delfin”, „Georg”, „Michał”, „Kariatydy”, „Nimfy”, czy z dziedziny chrześcijańskiej: „Wiera, nadzieja i miłość”, wystroje kościołów.

Wychwalanie Kissowe tych aktualnie jemu stojących na „świecznikach”, polityków i generałów szczególnie została zniszczona, zdewastowana - przez tych pojedynczych, którym aktualnie po roku 1945 postacie te nie pasowały. Zaliczają się tu, władcy prusscy, generałowie, car, czy w przepychu pokazane fontanny.

Kiss jako Ślązak, bo nie da się ukryć, z Domowiny Plesskiej, urodzony w Paprotzan, czyli obecnie w Tychach-Paprocach jest dobitnym przykładem przedstawiciela wiekowej zasady śląskiej - trilateralnego principia - trzech kultur, języków i narodów - po dziadku, Węgrem, po ojcu Niemcem, urodzonym na Śląsku. Oczywiście zasada ta nie pasuje właściwie nikomu, ponieważ i każdy, kto aktualnie na Śląsku, gloryfikował tylko swój nurt, tępiąc innych, poprzednich, i niszcząc, co na tej ziemi przychodzących i odchodzących powstało. Nie dziwny się, że robili tak Słowianie-poganie w V wieku w Europie. Właściwie tak robi się też dzisiaj, wiele z tych cech pozostało.

Jedno jest pewne, nurty Kissa gruntownie pasują do wspólnej Europy, do Europy regionów, do której jak olbrzymie koło zamachowe świetności

Polaków, iż czują się oni zmuszeni do odreagowania ich „hańby” na niewinnej gwarze śląskiej?

* *Wasserpölnisch* - pojęcie to, pod którym rozumie się zwykle coś, co jest niby „rozwodnieniem” (czyli pewnego rodzaju mieszaniną) języka polskiego, używane także w przeszłości nie tylko pogardliwie względnie lekceważąco w stosunku do mowy najstarszej części ludności Górnego Śląska, powstało podobno swego czasu we Wrocławiu jako określenie języka ludzi, przybywających do tego grodu drogą wodną - czyli Odrą.

** *Oberschlesischer Dialekt* = dialekt górnośląski. Według mego, autora powyższego artykułu, skromnego mniemania, niepotrzebna próba niemieckich Górnoślązaków wprowadzenia do języka niemieckiego bliższego, rzekomo mniej ujemnego, określenia ich - mniej bądź więcej rodzimej - gwary śląskiej. Język niemiecki jako taki nie posiada odłamu - to jest: dialektu - górnośląskiego. Górnoślązacy, poczuwający się do narodowości niemieckiej, w ich przytłaczającej większości mówili i mówią językiem niemieckim wprawdzie specyficznie - ale jednak w jego wydaniu literackim. Pojęcie *Wasserpölnisch* jest - obok jego całej, a przeze mnie bynajmniej nie negowanej, negatywności - także neutralnym, historycznie powstałym, integralnym określeniem gwary śląskiej w języku niemieckim.

*** Gerhart Hauptmann, noblista, jeden z największych niemieckich dramaturgów, przełożonych w znacznej części także na język polski. Część swych utworów napisał on w niemieckim dialekcie dolnośląskim - a takowy istniał poprzez lat setki i umrze (niestety!) niejako w konsekwencji II Wojny Światowej dopiero z ostatnim stamtąd Wypędzonym - z okolic Gór Sowich. Sam urodził się w Szczawnie Zdroju i mieszkał w Karkonoszach, gdzie zmarł w roku 1947. Owcześnie Polska nie zawahała się przed odmową jego pochówku na jej - wówczas jeszcze sprzecznym - terytorium.

kiedyś tej krainy, przybliży wszystkich do jedności.

Kissa wyselekcjonowana twórczość przetrwała, ta ogólnoludzka - w walce o przetrwanie, w walce z przeciwnościami, z jego narzuconego nurtu, bo ten kierunek wybrał i zrealizował. Nasz wspólny wspaniały rzeźbiarz, godny naśladowania, nas mobilizujący do dumy, ponieważ takiego właśnie my mamy, i od nas ze Śląska się wywodzi.

A my Ślązacy na Śląsku, przetrwamy w walce z przeciwnościami? Albo uśpieni, zmęczeni dziejową walką o przetrwanie, w „walce” z przeciwnościami minionych i dzisiejszych czasów, gdy obecnie jest się tylko mniejszością śląską, obojętnie czy polską czy niemiecką, ale mniejszością w swojej domo-winie. A ci w świecie, porozrzuć, bez żadnej siły przebiccia, bo sami też w „walce o lepszy byt” wśród obcych! Kiss, i to udowodnię, dał nam przykład, i mnie autorowi też. Byłbym też uśpionym, jak większość z nas, ale poznanie tego górnośląskiego artysty dodało mi sił i w jego podmuchu roz-postarł mi skrzydła, jak Michałowi Archaniolowi w dążeniu do prawdy, sprawiedliwości i bezpieczeństwa - bo tak mamy się czuć w Europie regionów!

Kissową „walkę” przeciwności pokażę w „Sinnbild des guten Miteinanders” - w „Symbolu ludzi dobrej wspólnoty”. Cierpliwości.

Peter Karl Szczepanek

Z książki P.K.Szczepanka: "August Kiss, z krainy przychodzących i odchodzących"

Die kämpfende mythologische AMAZONE mit dem widerspenstigen Panther. Das Denkmal steht vor dem Alten Museum in Berlin, unser ober-schlesisches Wahrzeichen, mit dem Motto: "Brücke zwischen zwei Welten bauen".



Z albumu Peter Szczepanka

**Schlesi-
sche
Reminis-
zenzen -
Remi-
niscencje
śląskie**

Schon seit 1842 steht es stolz im Zentrum Berlins, zwischen dem Alten Museum, dem Berliner Dom und dem Bundeskanzlersitz, ein 3,70 m hohes Denkmal „Amazonen auf dem Pferd“ ein Werk von August Kiss. August Kiss geboren 1802 in Paprotzan-Tichau, lebte in Nikolai, Gleiwitz, Breslau und Berlin. Aus diesem Anlaß hat der Bildhauer August Dyrda aus Paprotzan, eine Medaillon "Mater Silesia" mit der Prägung der Kiss-Amazone geschaffen.

Od 1840 roku w centralnym punkcie Berlina między Muzeum Starożytnym, a najstawniejszą Berlińską Katedrą i siedzibą Bundeskanclerza w Berlinie stoi dumnie pomnik wysokości 3 m 70 cm - „Amazonka na koniu” dzieło Augusta Kissa urodzonego w 1802 roku w Paprocach. Na tę okazję obecnie żyjący rzeźbiarz August Dyrda również z Paprocach wykonał medalion "Mater Silesia" z wizerunkiem tej Amazonki Kissa. Dyrda z Paprocach „spadkobiercą” Kissa.



6.9.2002

**odbędzie w Chorzowie odsłonięcie pomnika
Fryderyka Wilhelma Hrabiego von Reden**

Po zburzeniu poprzednich rzeźb Theodora Kalide, teraz w wykonaniu Augusta Dyrda z Paprocach (Tychy)

• **Friedrich Graf von Reden**

www.August-Kiss.de/Redendenkmal/redendenkmal.html

Der Bildhauer August Dyrda aus Tichau-Paprotzan, der nach dem berühmten Theodor Kalide aus Gleiwitz, schon zum dritten Mal das Denkmal von Friedrich W. Graf von Reden schuf.

Und am 6.9.2002 soll das Denkmal in Königshütte enthüllt werden.

• Das Bild der Medaille, Genese der Entstehung und Projektanten, und wer modelliert. Dieser Medaille, kann man im Internet sehen: www.August-Kiss.de, Abteil: Kiss/Amazone, hier kann man auch F.W. Graf von Reden nachsehen, Abteil.: Kiss/Weiteres, oder direkt::

<http://home.t-online.de/home/Koch.Herms/Amazone/amazone.html#medaille>

Den selig gesprochenen Dr. Emil Szramek und F.W. von Reden kann man auch unter **www.Slonsk.com** sehen:

- Die oberschlesischen Vierjahreszeiten
- Reden-Denkmal am 6.Sept. in Königshütte O/S enthüllt
- Współczesny Michał Archaniol dla Górnolazaków w Chorzowie

Mit freundlichem Gruß

Glück Auf

Kulturreferent der Bundesheimatgruppe des Plessen Landes e.V.

Peter Karl Szczepanek

**SPOTKANIE Z RYBNICKIM
PISARZEM ODPUSTOWYM**

*Miało miejsce w Sali konferencyjnej Biblioteki
Miejskiej w Rybniku 24. Maj 2002*

Rybnik - Shlonsk

Afisz uliczne zapraszały na spotkanie integracyjne Organizacji działających w regionie rybnickim - dawny duży powiat z Wodzisławiem Śl. przy udziale **dr Jerzego Gorzelika**, również prelegenta od języka shlonskiego. Frekwencja dopisała, byli szefowie i miasta i powiatu też gminy Leszczyny.

Zdziwili się mocno jednak, gdy na tym afiszowym spotkaniu najważniejszą osobą po? Przewodniczącym Ruchu Autonomii Śląska panem K. Klucznikiem - jak się wydaje organizatorem spotkania - był lokalny biznesman - pisarz z zaliczonymi kilkuset spotkaniami autorskimi (tak się przedstawił) - szef wydawnictwa „Śląskie ABC” - Marek Szoltysek.

Niestety nie przybył na spotkanie zapowiadany pan Gorzelik i też prelegent językowy. Zawiedli się chyba - tak jak i ja - również szefowie miasta i pozostali obecni, którzy liczyli na poznanie i wysłuchanie na żywo opinii na temat tożsamości Shlonska i Shlonzoków lidera Z.L.N.Ś. (niżej).

Jakby nie był zaskoczony, tym faktem, prowadzący pan K. Klucznik. Miał przygotowanego prelegenta zasiadającego z nim za stołem prezydialnym, właśnie p. Szoltysek.

Marek Szoltysek - kto zacz - absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, nauczyciel historii w LO w Rybniku - Chwałowicach, właściciel wydawnictwa „Śląskie ABC” - to spisałem z jego książki „Śląsk takie

miejsce na ziemi” - Rybnik 1998. Teraz gdy przedstawił się dodał, że jakoby nie był związany z żadną opcją polityczną. Wiadomo jednak, że , że gdy startował z biznesem to wojewodą w Katowicach był p. Ciszak, który przekreślił rejestrację Związku Ludności Narodowości Śląskiej a ówczesne władze Rybnika chyba też „sprzyjały” panu Szoltyskowi, kto jeszcze? Wtedy, w 1998 roku gdy wziąłem do ręki - zresztą elegancko wydaną książkę p. Sz. - **Śląsk takie miejsce na ziemi** - bardzo szybko zostałem porażony arogancją i wręcz chamowatością autora, pogardą dla Shlonzoków chcących być Shlonzokami u siebie tj. Na Shlonsku. Napisałem wtedy krótki komentarz na tę okoliczność, Ponieważ był on w biuletynie „Jaskółka Śląska” Nr 1/99 wydany wtedy zaledwie w kilkudziesięciu egzemplarzach więc pozwalam sobie go tutaj przytoczyć raz jeszcze.

Napapłol ...

Ostatnio zetknąłem się z książką - albumem copyright by Marek Szoltysek Rybnik 1998, co się nazywa: **Śląsk - takie miejsce na ziemi**.

I dobrze, że podobne pozycje wydawnicze są, ale doznałem szoku gdy pan Szoltysek postawił się w roli najwyższego sędziego, i uwaga! Zaraz na shtworłej stronie tak dymonstracja kultury autora, cytuję: **„Jest bardzo niedobrze, gdy wykształceni Ślązacy belkoczą coś na temat swojego regionu. A belkocze się czasami na temat rzekomej osobnej >śląskiej narodowości< , gwarę śląską nazywa osobnym >śląskim językiem< belkocze się wreszcie >niestworzone historyjki< na temat związków śląska z Niemcami”** itd.

Oto kulturalna paplanina historyka ala KUL - Lublin i zarazem lojalka wydawcy „Śląskie ABC”.

W albumie pomieszanie faktów, tematyka dobrana dla założonej wyżej tezy, połączona z prymitywizmem. Znalazło się miejsce dla sowieckiej flagi - ale nie dla Śląskich, znalazło się też całowanie rusko-lubelskie,

jakieś zdjęcie wrzodu - boloka (po co?). Oh, nasiąknęło się wschodem w tym Lublinie, nasiąkło. Trzeba być wyjątkowo gruboskórnym, trzeba mieć szpyra, jak się godo na Shlonsku, żeby pokazywać taki prymitywny i ograniczony obraz Shlonska. Trzeba wykazać dużo złej woli. Wiele diametralnie różniących się opinii szanowanych przedstawicieli kultury i nauki z samej Warszawy w sprawie narodowości, w tym śląskiej było publikowanych w prasie w minionym okresie i ni móm zamiaru ich tu przypominać i wymieniać nazwisk bo w towarzystwie pana szołytska uwłaczyło by to Ich godności.

Przypomna tylko, że tak zwani prawdziwi Polacy z Lublina, Lwowa, głosili, że nieistnieje naród ukraiński, białoruski, a Czechosłowację nazywano klinicznym przypadkiem.. Inni znów głosili, że istnieje naprawdę tylko naród rosyjski i niemiecki. To nie państwo jednak decyduje czy się jest prawdziwym Polakiem, czy Shlonzokiem. Narodowość człowieka jest taka - jaką sóm określi, i również nie odrębny język decyduje o narodowości.

Nie trzeba wreszcie być stowarzyszonym czy spełniać jakieś wymagania liczbowe itd, itd.

Śląskość od wieków jest czymś rzeczywistym i innym niż polskość. Śląskość dostrzeżono u naszych sąsiadów. Dostrzegł to już Długosz w wieku XV. Widział to Geograf Bawarski w IX wieku itd. To Goci gothali (godali) tu jeszcze w V, VI, VII wieku. Trzeba być naprawdę zaślepionym i szpyrowatym, aby paplać bzdury i stawiać się w roli najwyższego sędziego nowego PKWN Lublin.

E. Bienia

** PKWN - Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego*

Tyle było w styczniu 1999 mojego komentarza.

Od tego czasu pan Szołytek wydał jeszcze kilka książek, w tym delikatanie mówiąc kontrowersyjną - dla mnie właściwie - obraźliwą dla Kościoła Katolickiego; Biblia(e) Ślązoka. Wszystkie te pozycje (nie wymieniam), z wyjątkiem pozycji - **Papież na Górnym Śląsku** - której nie znam, to pozycje które śmiało można nazwać jako „odpustowe” - tak samo jak i **pana pisarza Szołytska też traktuję jako pisarza odpustowego**. Talentów organizacyjno-biznesowych to mu nie brakuje, a jego działalność (z włączaniem polityki) wpisuje się w podobne, najniższych lotów programy kabaretowo-filmowe Telewizji Katowickiej (tzw. pr. III) mające na celu pogradliwe prezentowanie Shlonzoków (Shlonska) - familokowo-hasiokowe zjawiska kulturowe i to właściwe napływowej ludności robotniczej - górniczej.

W tym kontekście pozytywnym zjawiskiem są inicjatywy środowiska wrocławskiego gdzie poszukuje się korzeni kultury w obcowaniu z zabytkami budownictwa czy nawet zamawianiu u niezależnych autorów prac historycznych na temat Miasta - metropolii Shlonska (np. N. Davies - Wrocław) czy Śląsk i Ślązacy - J. Bahlcke, wprawdzie przekład z niemieckiego i wydane w Warszawie lecz chyba znajdujące najszerze zainteresowanie w kręgu naukowym Wrocławia. Na Górny Śląsk - Katowice, Rybnik, Cieszyn, Bielsko - myślę - odrodzenie kulturalne dotrze z opóźnieniem właśnie poprzez Wrocław, może i Wiedeń!

Kultura Shlonska to nie Piłsudski jak chce w Rybniku np. ppłk rez. Pilot Tadeusz Dłużyński - prezes... piłsudczyków (zapewne wcześniej posiadacz legitymacji PZPR), Piłsudski - iibermensch (nadcześniowiec) - co kazał sobie poplasterkować mózgowicę (co uczyniono w Wilnie!), wcześniej, bigamista i autor zamachu stanu i.i.i.i, to nie kultura Shlonska. Kultura Shlonska to nie Korfanty zabiegający o najwyższe stanowisko w Warszawie kosztem Shlonska, autor terroru na Shlonsku, organizator bratobójczych walk i.i.i. To Piłsudski był jednym ze wzorców dla Hitlera, Korfanty „razem” z führerem obchodził urodziny (geburtstag).

Kultura Shlonska to nie Sienkiewicz - z pochodzenia Tatar, czy Mickiewicz... czy Konopnicka itd. i...

Wracając do spotkania - jako urodzony w dawnym powiecie rybnickim (obecnie jego części wodziławskiej), w dodatku emocjonalnie, szerzej, podziwiający historyczne księstwo raciborskie z jego tradycją kulturalną ale też okresami wzniosu i upadków (tragedii 1945 r.) byłem zainteresowany przywołaną tematyką - spotkaniem. Jest mi też osobiście wstyd (gańba) że, R.A.Ś. tak fatalnie zorganizował (w osobie K. Klucznioka) to spotkanie. Jestem sympatykiem Ruchu chociaż móm wątpliwości co do niektórych działań a nawet nie mogę się zgodzić na sojusz - mezialians ze

związkiem Górnośląskim (ZG) - odpowiedź na „Ostrożnie - z wyborcami sojuszami” - Jaskółka Śląska 2002/05/80 - Gerard Wiechula. Właściwie to nie wiem o co idzie gra. Chyba się domyślam jednak o stołki! W mieście, powiecie. A może być tak że, nasz odpustowy pisarz... przy okazji też coś dło siebie szykuje w mieście czy powiecie a nawet...Katowicach.

Ale zostowmy świecidełka odpustowe. Z czym nie zgodzóm się w Ruchu, jeszcze, nie zgodzóm się z opcjom uparcie podkreślaną przez dr. Gorzelika że, należy z góry odrzucić jako małopolskie ziemie żywiecką czy dawne księstwo siewierskie. Świadczyć to może i o niewiedzy i pewnym wyrachowaniu. Księstwo siewierskie można np. przyrównać do księstwa Nysy - gdzie właścicielami byli biskupi tu i tam, a nie bezpośrednio Rzeczpospolita. Ziemia żywiecka zaś to osadnictwo frankońskie z czasów przynależności do księstwa cieszyńskiego, wcześniej na tej Ziemi żyły tylko niedźwiedzie i wilki!

Być może, być może... że, Pan Gorzelik, którego w Katowicach jak przypuszczam same przyjemności nie spotykajom, a życie - Rodzina stawia wymagania finansowe - co trzeba zrozumieć! - dopuszcza, nie wyklucza „ucieczki, na jakąś propozycję Krakowa i zawczasu to co Gierke „odkupić” za zgodę na emigrację na Śląsk milionów Małopolan, z góry chce, dla przychylności tamże, tamże aportować. Jo sie na to nie godza, a myśla, że dło Gorzelika winno się znaleźć miejsce w ... Rybniku w Uniwersytecie skąd blisko do Raciborza, Opawy czy Wrocławia a nawet Wiednia.

Jeszcze raz zapytóm - dlaczego nie było p. Gorzelika - może też został zaskoczony pierwszoplanową rolą Szołytska przygotowaną mu przez pana Klucznioka. Nazwiska, nazwiska... Jeśli tak, to rozumiem, ale...

Zatym spotkanie roz jeszcze. Na przygotowanej sztaludze z arkuszem papieru pociongo Szołytek shtyry kryski - granice niby Shlonska i stwierdzono że, „Shlonsk się kurczy”. Ziemiom Cieszyńskiemu nie chce (Cieszyńskanie nazywajom siebie Cieszyńskimi i nie utożsamiają się z Katowiczyzną) to zauważył na spotkaniach autorskich. I to odpowiadał - w Cieszynie nikt nie witoł 10 sierpnia 1920 roku - tuż przed II-gim tzw. powstaniem polskim na Górnym Śl. - wkraczających wojsk polskich. Przypomniałem to na końcu, obecnym na spotkaniu. Dło Cieszyńskików, Korfanty, z jego - dzieł i rządów, katolicy - ewangelicy, jest nie do zaakceptowania. Chociaż ewangelicy cieszyńscy zajmowali propolskie stanowisko. Dzisiaj zaś trudno zrozumieć dlaczego administracja Kościoła Katolickiego włóńczyła cały ten rejon do Małopolski - Diecezja Bielsko-Żywiecka przynależy do Krakowa! Przekrój społeczeństwa Cieszyńskiego od roku 1920 wprawdzie zmienił się zasadniczo, i tutaj też są patriotcy idola Piłsudskiego a teatr nazwano - Mickiewicz, to jednak głębiej myślący obcyający z budownictwem - architekturą Habsburgów - tamtą kulturą, swoje zainteresowania kierują w stronę Południa - Moraw i Wiednia. Katowice z placem „sejmowym” i dalszym otoczeniem to ich przeraża. Dło Szołytska są to sprawy odkrywcze - gdy na końcu otrzymałem prawo głosu, musiałem stwierdzić, że historia polski ta podręcznikowa jest pełna fałszów poczynszy od Miseca (Mieszka I), który zapewne wcale słowianinem nie był, poprzez „powstania” plebiscyty... Wersale...Jałty.

Nie publikuje się w Polsce dokumentów źródłowych takich jak Dagome Iudex - Miseca (Mieszka) - w Watykanie, Germanii - Tacyta, Historii Saksonii - Widukind, Kroniki Thietmara, treści nagrobka Bolesława Chrobrego w Poznaniu itd. Ostatnie - dawną zaginionie polskie publikacje na ten temat pochodzą z lat '60-tych już ubiegłego wieku.

Cały zaś współczesny kulturkamf Szołytska opiera się na tezie: „Uproszczenia są konieczne”! Pod tym hasłem zaś dopuszcza własne interpretacje oczywistych faktów. Naród shlonski dło niego nieistnieje. Jesteśmy kosmitami tak jak określił to wojewoda Cizsak (Katowice) - 1998.

Podobnie nie ma języka shlonskiego (i nie może być). Jest tylko gwara i żargon. Jak powstają i jak giną Narody, to zbyt trudne myślowo dło p. Szołytska. Jest jeden naród polski i koniec, kropka. Dość zdecydowanie więc, nie zgadzając się na takie diktum publiczne wobec zebranych zarządałem by nie był wyrocznią w sprawach Shlonska (Shlonzoków). Na tyle był tym chyba zaskoczony, że przygotowane do promocji sprzedaży a leżące na stole prezydalnym książki pozostawił niezauważone - niezareklamowane, niesprzedane. Był to koniec dyskusji i spotkania.

Wprawdzie nie traktuję powyższego jako sprawozdanie ze spotkania ale dla porządku muszę podać, iż zza stołu prezydalnego usłyszeliśmy informację, szefowej Mniejszości Niemieckiej - pani Burdzikowej na temat or-

DWA LISTY

Tekst napisany na okoliczność spotkania WISŁA 2001, kerego fragmnty autor wykorzystał w wystompieniu na II Zjeździe Śłoński Krzinki, abo Śłoński Beranie we Wiśle w dniach 27 kwytinia do 3 maja 2001 roku.

Niejprzód podziynkuja tak piyknie, jako byda jyny umioł - panu Chris Lepiarczykowi za zaproszyni nas (żony i mnie) do Wisły i za umożliwiyni przez dwa dni tukej pobytu.

Dziynkuja bywalcom „GWARKA” w Rydułtowach, kerzi przislali mi postkarta z obchodów BARBÓRKI i podpisali sie: Roman Zimoch, także Chris Lepiarczyk, Henryk Szczyra, Lesław Janik, Jacek Ryszka, pani CILA, znaczy - Maria Lelonek i wydawca FYRCOKA cz. VI - pan Bruno Zielonka.

Z cołkigo serca Wom za to dziynkujemy. Takoż samo dziynkujemy tym wszystkim, kerych żech nie wymiyniyl, a jejich zasługi dlo naszego tukej pobytu som nieocynione.

Jakech prawie rozwożoł nad tym - jako też godać do tak niezwykłego i szacowniego grona ludzi - toch prawie skojarzył „Śłońsko Krzinka” z mojom krzinkom, niewiela myńszom od waszkorba, w kerej mom poukładane same listy od czytelników moich ksionżek, co majom FYRCOKA w tytule, a - nawet tych piyrszych, pisanych godkom literackom, znaczy - czysto po polsku. Mocka tych listów. Som nie wiym wiela, boch nie liczył.

TUKEJ JYNY O DWÓCH LISTACH WOM OPOWIYM.

Tyn piyrszy, toch dostał zarozki po tym, jak Wydawnictwo „ISKRY” we Warszawie puściło mi w świat moja drugo ksionżka, co dostała tytuł: „Wszystko jeszcze gorące”. Było to w 1981 roku.

Zwyczajowo autor dostowo od wydawnictwa gratis wielaś tam egzymplarzy tzw. autorskich. Tako też tymu było w przypadku tej ksionżki, o ke-rej zarozki bydzie godka.

Mocka jest w tej ksionżce napisane na str. 61, 62 o somsiedzie, co se nazywoł Skiba, a na drugi Jorg mu było. Czamu prawie o nim? Przeca Skiba był jyny zwykłym bergmonym na grubie „ANNA” w Pszowie. Takoż samo, jako i mój ojciec i co nejmyni po jednym chłopie z koźdej chałupy na Parceli w Krzyżkowicach, co terozki administracyjnie do Pszowa przinoleżom.

Eli żech mocka o Jorgu w ksionżce napisoł, to wcale nie skuli tego, że szishajera na „ANNIE” sie dorobiyl, że „Goldene Hand” na niego godali. Eli by Jorgowi było dane w życiu pokończyć wysze szkoły, to by my mieli - jeszcze przed znanym we świecie kompozytorem Mikołajem Henrykiem Góreckim z Czernicy we Rydułtów - Jorga Skiby, kerymu Ponbocek ofiarowoł talynt do muzyki, ale szczyńsio mu zabrakło, żeby tyn talynt rozwinić.

Komu jako komu, ale Śłońzokom tłumaczyć nie potrza - jako to bergmony po szychcie spyndzały wolny czas. Kanarki, gołymbie, zegroda, dłubani przy chałpie. Taki po szychcie se nie legnył.

Jorg Skiba po robocie siodoł przed fisharmonijom, kero erbnył po ojcu, co był maszynistom na JOHANNSCHACHCIE - jak zaczynoł robota na grubie po kursach na maszynioka.

Po tym nazywało sie, że robi na szybie „JAN”, jak po plebiscycie Pszów dostał sie ku Polokom. Nieskorzi uzaś było, że robi na JOHANNSCHACHCIE - jak Górny Śłońsk dostał nazod nazwa Oberschlesien, a wojna szalała po świecie.

I jeszcze pora lot przerobiyl - aż do pynzyje, jak po wojnie z płóczki straciła sie tabula z napisym: „Hermann Göring Werke”, z „ANNAGRUBE” zrobiyla sie kopalnia „ANNA”, a szyb dostał uzaś miano „JAN”.

Ale przeca godka idzie o Jorgu i jego wielkim zamiłowaniu do muzyki. Joch był prawie niejwierniejszym słuchaczem jorgowego zagrywano na fisharmoniji, abo kedy indziej na skrzypce. Nawet przez zawrzyte okna było słyhać dżwinyki melodyji, o kerych jyny tela żech wiedziol, że som cudowne i chwytajom za serce.

Pora razy Jorg mnie prziuważył zasłuchanego w jego grani tak, że nawet starej Piechaczuli - niech bydzie pochwołony - żech nie padoł, boch mioł oczy przywrzyte, jakech siedziol na rancie pod płotym przy jego chałupie. Jednego razu otworzył okno i zawołał mnie do izby. To, coch tamyk ujrzol - jeszcze dzisiej stoi mi przed oczami.

Piyrsze - to fisharmonijo - jak jaki małe organy. Regał, a na nim stos zeszytów z nutami. Obok akordyjon, na kerym umioł grać syn od Skibów, co mioł na drugi Tonus.

Na ścianie wisiały skrzypki. Na ekstra sztyndrze - ksylofon własnej roboty

ganizacji Stowarzyszenia, po długim wystapieniu Szołtyska był też jakby oficjalny komentarz przedstawiciela RASI z Katowic (przedstawiciel p. Gorzelika?) polemizujący nieco w kwestaiach historycznych (nazwisko mi umknęło) oraz głosy z sali (nieliczne).

Warto było być nawet tylko dla wysłuchania melodii shlonskich w wykonaniu tercetu muzycznego, w czasie krótkiej przerwy.

PS. Już po spotkaniu, z wyłożonych ulotek reklamowych w - ofercie reklamowej wydawnictwa „Śląskie ABC” - Szołtyska znalazłem też już i figurkę (Nepomuka) - cena 199,00 zł.

Ni mom nic przeciwko Nepomukom!, ale... dlo kogo to spotkanie miało być? Odpustu w tym tygodniu (jeśli sie nie myla) w Rybniku nie było.

Ewald Bienia

Maj 2002-06-03



Nepomuk „Jastrzebski” u fontanny w Rybniku i „Rybnicki” (po kolejnych przenosinach) na zapleczu Kościoła przy Arki Bożka w Jastrzębiu

Fotos E.B. - 2000 (Ale to już inno historia)

z dobranych i wysuszonych klepek. Piyńcdwajścia portretów jednako-wego formatu na dwóch przeciwnych ścianach. Były to portrety od kła-syków muzyki, takich jak: Beethoven, Schubert, Mozart, Grieg, Bach, Haydn, Schumann, Czajkowski, Glinka, Paganini, Dworzak, Smetana...wszystkich nie wymiynia, boch nie je we sztandaie.

Jakech to wszystko ujrzol, to aż mnie zatkało. Jorg to zauważył i zaczon sie życzliwie uśmichać. Joch tyn uśmich pojmnyl, jako gotowość z jego strony do... Ano, do czego - miało sie dziepiro pokozać.

Bylech od tamtego dnia zaproszany na koźde jorgowe grani. Dycki na poczontek takij wizyty była opowiyć o żywocie jednego z tych klasyków muzyki. Potym rozkładał na szta-ludze od fisharmoniji zeszyt z nutami i tłumaczył mi znaczyni znaków na piyńcioliniji, jaki to utwór i kery go skomponowoł.

Było tak, że po jakimś czasie umiolech przewracać kartki z nutami, żeby Jorg ni musioł robić pauzy w graniu. Jeszcze trocha nieskorzij, umiolech zagrać z Jorgym - on na fisharmoniji a jo na skrzypce - lekciejsze konski od jednego z tych klasyków muzyki, kerych portrety w liczbie 25 wisiały na przeciwnych ścianach izby muzycznej w domu Skibów. Taki izby też sie spotykało, ale u sztajgrów, właścicieli sklepów, u ceglorza, u grubskiego pisorza - ale ni u zwykłego bergmona. Beztóz tela było o Jorgu w ksionżce.

I - oto momy rok 1981. Ksionżka pt.: „Wszystko jeszcze gorące” została też wysłano z dedykacyjom do Jorga Skiby. Pora dni jyny przeszło - jak briftryjer przinios mi list od syna Skibów - Tonusia, kery już był po naukach w Liceum Pedagogicznym w Raciborzu o profilu muzycznym. Jakiś czas był rehtorem - tukej niedaleko, bo w Ustroniu. Potym uzupełniyl wysze studia i zrobiyli go dyrektorem szkoły w rodzinnych Krzyżkowicach.

Ale o tym liście od Tonusia tukej godka bydzie, bo to jedyn z tych dwóch, wybranych ze krzinki niewiela myńszej od waszkorba.

Pokozało sie, że - prawie, jak moja ksionżka z opisym niedoszłego kompozytora a - w niejgorszym przypadku - dobrego organisty - trefiyla do Jorgowej chałupy - to było tak, jak na ostatni driker. Ciyńko chory na

raka Jorg leżał w domu bez nadziei na wyzdrowienie. Tonus, jak jyny dostał tą książkę, to na nic nie czekał, jyny zarzekał się siedzieć w nogach na łóżku przy ojcu i zaczął mu czytać fragmnty, kandy było o Jorgowej życzliwości dla mojego zainteresowania muzyką. Jorg słuchał, a oczy miał zawrnięte. Ledwo dostrzegalny uśmiech i nieznaczne poruszenia wargami, było odczytane przez syna, jako zachęta do dalszego czytania. Tonus czytał dalej. Czytał tak, jako to umi rektor. Pomału, dobitnie, wyraźnie i głośno.

W pewnym momencie nadeszła matka. Gryta miała na drugi. Siedziała na stołku wele łóżka i też słuchała, jak Tonus czyta o życzliwości i dobroci Jorga dla mnie. Po chwili wyszeptała cicho synowi - możesz przerwać czytanie. Ojciec zasnął. I tak też tymu było z tym, że Jorg zasnął na wieki. Leży pochowany na krzyżkowskim cmentarzu.

To by było tyle o pierwszym liście. Tyn drugi list, to dostał po prawie dwudziestu latach, bo w jesieni 1999 roku. Jest to list fest dla mnie budujący, a przysłał mi go Chris Lepiarczyk. Tego listu nie byda streszczał, jyny pora słów na jego temat powiem, ale - jeszcze przed tym musza przeprosić Pana Boga, kery doł mi doczekać dzisiejszego dnia. Musza Go przeprosić za to, żeby moich słów nie uznał za bluźnierstwo, bo eli jo bych się znejd na miejscu Jorga Skiby, to po przeczytaniu listu od Chris Lepiarczyka - nie było by mi żół umierać. A to dziękuję uświadomieniu sobie samemu, że moi kszonki, co mająm FYRCOKA w tytule - trafiły do WŁAŚCIWEGO ADRESATA.

Co to znaczy - właściwego adresata?

Po pierwsze - to taki adresat, co se poczyta o Fyrcoku bez tłumacza.

Po drugi - to taki adresat, co - eli już poczyta, to powiódł chłop rekt, abo bydzie do fyrcokowego pojmowania świata wnoszył własne poprawki, bo go życie inakże doświadczało.

Po trzeci - to taki adresat, kery w kontaktach z ewentualnymi czytelnikami FYRCOKÓW, potrzebujących tłumacza bydzie miał własne pofyrcokowe przemyślenia, a w zderzeniu z naszym aktualnym status quo - nie bydzie taki bezradny.

Po szóstym - to taki adresat, co to - jak sztafter bydzie na biuro szwongu, bo przeca idzie ku tymu, że w tej UNII EUROPEJSKIEJ bydymy mogli bardziej odważnie chlubić się naszym własnym historiom, co to nadal jest wdęptano w ziemię, zasuto bergami, a z kalnej wody nie umi wypłynąć. Żodyn za nas na dzień dzisiejszy tego nie robi.

A więc - jak godajom Poloki - moja świadomość, że FYRCOKI pobudziły Słonczoków rozciąganych po świecie do własnych przemyśleń - czy ni mnie niejako przirytowanym na niegorsze, bo odyńci z tego świata. Naiwnościom by było sondzić, że treści od FYRCOKA bydom jednakowo odbierane przez wszystkich, co na niego trafiły. Nawet moja ślubność w nikerych kwestiach swoi własne zdania, choć za trzy lata bydymy obchodzić złote wesele. Syna my wychowali jak się należy, a wnuk sztyduje we Wyrszym Seminarium Duchownym i za pora lot bydzie wysylny na kapłana.

Różnica poglądów ni musi oznaczać nienawiści. Jest coś takiego, jak TOLERANCYJO. Rzecz jyny w tym, kery kogo ma tolerować?

Fyrcok miał na taki pytanie odpowiedź. Dycki godo! - TOLERANCYJO TO JEST ŁASKAWOŚĆ MOCNIEJSZEGO. A, że z tym łaskawościom dla Słonczoków mamy rozto-maćcie, to i na tolerancyjo ni ma co za festy liczyć.

Stykanie - jak sami dla siebie bydymy Słonczoki tolerancyjni. Stykanie, jak bydymy się spotykać jako tu we Wiśle. Jak bydymy ze sobą łoprawiać o naszych żywotnych sprawach a przemilczanych w mass-mediach, czy też nie po naszymu naświetlanych. Jak bydymy - na wzór Józefa Freihera von Eichendorffa opisywać naszą piękno ziemię tak - jako kery umi. Słowami, przysłowiowym piórem, pendzłem, poprzez video-kasety, internet...

Ludzie kochani !!! Kery to za nas uczyni, jak nie my sami. Kery przetłumaczy wiersze od ostatniego romantyka, Józefa von Eichendorffa? Kery - jak nie światli ludzie, wyrosli na naszej słonkiej ziemi, ale - nie zaprzające. Kery - jak nie ks. prof. Jerzy Szymik - duchowny, naukowiec, pisarz - poeta. Tłumacz wierszy od Eichendorffa. Jest szkolnym kolegą od obecnego tuż Bogusława Kołodzieja - oba rodym z Pszowa.

Kery - jak nie mój przyjaciel z Raciborza, mgr Wiktor Bugła, co przetłumaczył pieśni od Eichendorffa.

Uża Bogusława Kołodzieja jest prezesem Towarzystwa Przyjaciół Pszowa i szefem zespołu artystycznego „PSZOWIKI”. Współpracuje z czasopismem, co ma tytuł: „Z ZIEMI EICHENDORFFA”, z siedzibą w Suminie. Jest inicjatorem i organizatorem wycieczek - piechty i na kółkach -

szlakami, zjeżdżonymi konno, bryczkami i na landauerze przez Józefa von Eichendorffa. Pisuje własne teksty i wiersze o Eichendorffie - jako i wspomniany ks. prof. Jerzy Szymik.

Boguś jeszcze do niedawna przypomniał samotnego żeglarza, odkrywce śladów po Eichendorffie, co to mu w 1909 roku postawili pomnik przed Landratsamtem w Raciborzu. W roku 1945 Rusy go spryngły. Uża pora lot tymu został odbudowany i zarzekał przez „Undulige Elementy” - obłony ylfarbm. Ale stoi i - jednych raduje, inszych żgo w oczy.

Kery chce oddać cześć dla naszego poety Józefa von Eichendorffa - tyn, choby jyny na chwila, na jedno błysknie okiem, na pora bliców aparatem fotograficznym - odwiedzi te miejsca w Pogrzebieniu, na kere godajom WIDOK. Abo w Brzeziu nad Odram, kandy miejscowi ludzie zafundowali w 1907 roku Eichendorffowi kamień z wyrytymi słowami wdzięczności za jego cudowne opisy i za ośpiwani naszej ziemi. (*O kamiyniu tym była mowa w artykule "Rozważania starego Ślązaka o Józefie von Eichendorffie" w Nr 5 -04/2002 str. 18 "Echa Slonska" - przyp.red.*)

Tyn kamień też żgo miejscowe władze w oczy i - także samo, jak pomnik w Raciborzu - został spryngnity. Jakże mało ludzi o tym wiedziało. Pora staruszków, kerych żodyn o nic nie pytał, a oni niepytani milczeli. Beztóż należy się nom te sprawy na podobnych spotkaniach odnawiać, przypominać, na nowo opisywać i - nie zważać na niezadowolonych z tego powodu zaprzających. Kery nie zno, a chciałby poznać Górny Słonk jyny z filmów o Słonsku - tyn nie bydzie chciał tuje przyjechać nawet na pół dnia. Na filmach o Słonsku oglondomy w przewodzie - hody, bergi, familoki z czerwonej cegły - brzydki i odropane - chływiki, szopy, hażle, gołymbniki, licy kaj ławeczka dla starzików - przeżuwaczy własnych myśli i - mało co wyncyj.

A przeca stykanie przejechać pora kilometrów za Rybnik ku południowemu zachodowi, żeby widokom na dolina Odry i okoliczne wsie - nie dać wiary, iż to też jest nasz Górny Słonk - prawie tyn ośpiwany przez Józefa von Eichendorffa.

Uża - kery nie zno naszej gwary, a chciałby jom poznać z pomocą profesorów - tak pierzińsko przeuczonych, że aż oderwanych od ludzi fyrcokopodobnych (idzie o szpeców od godania) - tyn bydzie naszo godka dalej wyśmiewo! jako była wyśmiewano przed wojną i od końca wojny - choć tyn som przeuczony profesor - szpec od godania - bydzie się wymondrył jako członek JURY konkursu pt.: „Godomy i śpiwomy po słonsku”. To jest wredne, obłudne i fałszywe.

Możecie mi wierzyć, abo ni. Joch miał w życiu do czynienia z rozto-mańtami autorytetami, ale takimi z przedziału służbowego, pochodzoncy od zdobytych tytułów naukowych, stopni gernalskich i rangi w społecznej hierarchii - rangi zdobywanej czysto metodami rajtowania na plecach od bliźniego.

Żodyn z tych autorytetów nie był we wercie - nawet sztywierciny moralnej wartości od FYRCOKA.

Beztóż moimi autorytetami - po rodzicach w dzieciństwie, po rektorach w latach wczesnej młodości - był i jest nadal FYRCOK. On mnie wypo-sażył w taki vorrot wygwaj-zrów (na co Poloki by padały - zapas drogowaskazów), że stykło mi tego aż do dzisiejszego dnia.

Moja palica jyny w tym, żeby nie pomiyszać tych wygwajzrów, żeby odciępować fałszywych doradców, coby chcieli mój wygwajzr co se nazywo DOMOWIZNA podmiąć na MAŁO OJCZYŻNA.

Beztóż tak festy dziynkuja BOGU, że doł mi doczekać lektury listów od Chris Lepiarczyka, Romana Zimocha i doł mi pozwolństwo na uczestniczyni z żonom w II Międzynarodowym Zjeździe „WISŁA 2001”.

Terazki jyny rzecz w tym, żeby ślady po spotkaniu nie uległy zatarciu. O pierwszym zjeździe „WISŁA 2000” dowiedzieliście się z listu od Chris Lepiarczyka. Uża - jako tam było - wiem z kasety video, keroch dostał w prezencie gwiazdkowym.

A więc - jak godajom Poloki - jest ślad, kery trafił aż do Warszawy i nie po to, żeby przeleżeć na półce.

Zespół artystyczny „WRAZIDŁOKI” z Knurowa obejrzał się też członkowie Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie a - nawet echt Warszawski w dwóch klubach syniorów na Ochocie.

Bydom syniory miały co wnukom opowiadać, bo - choć na starość - ale trocha powidy w inszych obrozkach, niż pokazowanych w mass-mediach, dostali w prezencie.

Nikere Warszawski - co to uchodzili tuje we Warszawie za ekspertów i znawców Słonska, bo godali: „Jo znom tych pieronowych Słonczoków, boch z takim jednym służył dwa lata przy wojsku” - to ci prawie stracili godka. Odebrało im godka po obejrzeniu na kasie video wspomnianego

ZESPOŁU, wysłuchaniu śpiewek i obejrzeniu rysunków, pokazowanych i komyntowanych fajniacko po śłońsku przez utalantowanego artystka, pani Kazimiera Drewniak, co też ilustruje teksty, pisane po śłońsku do gazety NOWINY RYBNICKIE, przez panią Marię Lelonek, kero sie podpisuje CILA.

Fajniackim śladym po takich spotkaniach we WIŚLE - umiałaby też być KRONIKA SPOTKAŃ ŚŁONZOKÓW - WIŚLA 200...

Już jom widza - z rysunkami Kazimierzy Drewniak, Henryka Topisza, Maksa Hojki, Eweliny Szarowskiej-Francus. To jyny ci z FYRCOKA cz.VI. A wiela jeszcze takich momy? Można i miyndzy nami siedzom.

Nikerych jyny dane mi było poznać poprzez listy na pora miesiynce przed spotkaniem „WIŚLA 2001”.

Życzliwość dło ludzi gotowych pobudzać do konkretnych działań na rzecz naszej śłońskiej DOMOWIZNY - jako okazuje pan Bruno Zielonka, kery wypuścił w świat „FYR-COKA cz.VI „- ta życzliwość zasługuje na popiyrani, jako kery umi.

To dobrze, że żyć idzie naprzód i nikedy potrza dokonywać poprawek i roztomańtych korekt. We FYRCOKU cz.VI mom też rozdziałik o tym, że - jakbych był fest bogaty, to bych nie żałował piniyndzy dło reżysera (a obecnie i synatora) Kazimierzka Kutza, coby krynciły filmy o Śłońsku, ale inakszy i nie jyny o tym brzidkim. Wtedy żech jeszcze nie znoł bywalców rydułtowskiego „GWARKA” na co dziyń i uczestników spotkań we Wiśle.

Terozki bych tak nie napisoł, a piniyndzy tobych nie żałował, ale dło pana Bruna Zielonki i dło bywalców - jak sie rzekło - rydułtowskiego „GWAR-KA”, żeby popularyzowali twórczość tych ludzi fyrcoko-podobnych, kerym dło podtrzymanie własnej egzystynce nie styknie jyny som chlyb.

Nie dejmy sie rozdrobnić, rozbić na atomy tak - jak dło przykładu - POLONIA NIYMIECKA, kandy na dwiasta tytułów prasy polonijnej majom w samych Nymcach przeszło dwajścia. (Dane z czasopisma „SALON POLSKI” Nr. 10/11 - październik - listopad 2000).

Nie brakuje też czasopism niby o Śłońsku i niby dło Śłonzoków. Osobiście bez tego NIBY znom jyny dwa czasopisma: „Jaskółka Śląska” i czasopismo „Z ZIEMI EICHENDORFFA”.

Nie wiem, czy mi bydzie dane od BOGA i DOBRYCH LUDZI - choby jyny pokibicować WOM z daleka za rok. Bo to nie jyny wymiana wizytówek, adresów, wspólne fotografie a, choby i filmy na kasetach video, ale głównie serdeczne przijażnie i wspólne plany dowajom nadzieja, że użać za rok dońdzie do spotkania.

Tego WOM z cółkigo serca życzę. I jeszcze jedno na koniec. Nie traćcie animuszu, chynci, entuzjazmu i nie łomiejcie sie, eli za rok spotkani „WIŚLA 2002” miałoby być skromniejsze, bo w tym kraju jakoś nie idzie ku lepszemu.

Rudolf Paciok

PODANIE O WYRAŻENIE ZGODY NA UFUNDOWANIE I WMUROWANIE TABLICY UPAMIĘTNIAJĄCEJ MARTYROLOGIĘ MIESZKAŃCÓW GÓRNEGO ŚLĄSKA I PODBESKIDZIA NA TERENIE OBOZU W OŚWIĘCIMIU - BRZEZINCE W LATACH 1945-1947

Bielsko-Biała, 16 czerwca 2002

Józef Jancza
ul. Słowackiego 82/1
43-300 Bielsko-Biała

PREZYDENT URZĘDU MIASTA OŚWIĘCIMIA PAN JÓZEF KRAWCZYK

ul. Zamkowa 2
32-600 OŚWIĘCIM

Dotyczy: **wyrażenia zgody na ufundowanie i wmurowanie tablicy upamiętniającej martyrologię mieszkańców Górnego Śląska i Podbeskidzia na terenie obozu w Oświęcimiu - Brzezince w latach 1945-1947.**

Nawiązując do pisma Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, Wydziału Spraw Obywatelskich nr Ob.1X-I-0713/103/2001 z dnia 16 lipca 2001 r., - niniejszym zwracam się zgodnie z art. 18 ust. 2 pkr. 13 Ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie terytorialnym - o wyrażenie zgody na ufundowanie i wmurowanie tablicy pamiątkowej wraz ze wskazaniem lokalizacyjnym na terenie obozu w Brzezince, poświęconej eksterminacji niewinnej cywilnej ludności pochodzenia niemieckiego z terenu Górnego Śląska i Podbeskidzia, która padła ofiarą zbrodniczej działalności Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Naszym pragnieniem byłoby również wspomnieć ofiary wywiezione i zamordowane po II wojnie światowej na terenie byłego Związku Radzieckiego, Zdajemy sobie sprawę, że materia jest bardzo delikatna, ale jeżeli nie my, jeżeli nie teraz - to kto i kiedy da świadectwo prawdzie. W żadnym cywilizowanym systemie prawnym nie ma odpowiedzialności zbiorowej ani wendety na narodzie. To co stało się z naszymi Ojcami i Matkami, Braćmi i Siostrami, tak po prostu, nie może odejść w niepamięć. Przecież to Oni budowali pomyślność II Rzeczypospolitej, brali udział w wojnie 1920 roku, to nie oni wymyślili faszyzm, tylko padli jego ofiarą, tak jak miliony ludzi różnych narodowości. Teraz, kiedy nasza wiedza o tamtych latach wzbogaciła się o fakty dotąd ukrywane, zaś świadomość historyczna jeszcze do niedawna była z żelazną konsekwencją manipulowana,

uwazamy, iż Pan Prezydenci nie będzie miał wątpliwości po której stronie się opowiedzieć, czy po stronie katów, czy ofiar.

Musi przeniknąć do powszechnej świadomości społecznej prawda historyczna, bo tylko na jej podstawie można zbudować dobrosąsiedzkie stosunki. W naszej tradycji chrześcijańskiej nigdy cel nie uświęca środków, a tym bardziej, gdy morduje się ludzi ze szczególnym udręczeniem, O tym wszystkim codziennie mówi zwiedzającym Muzeum Oświęcimskie. I w tym miejscu chciałoby się zadać pytanie: Gdzie jest jeszcze jeden twój brat ?

Panie Prezydencie, szczególnego Miasta i szczególnego Miejsca, apelujemy do Pana, o przychylenie się do naszej prośby, aby mogliśmy wmurować tablicę jako namiastkę cementarza naszych poległych Braci i Sióstr, którzy wybrali la polską Ziemię i nazwali ją swój ą Ojczyzną.

Niech nam będzie wolno, podziękować Panu Prezydentowi za pozytywną decyzję, wierzymy gorąco, iż właśnie taka zapadnie, przecież wyznajemy te same wartości.

W imieniu członków rodzin pomordowanych oraz innych osób zainteresowanych upamiętnieniem zbrodni, ku przestrodze dla następnych pokoleń, podpisy złożyli:

(37 podpisów, częściowo nieczytelne)

Załączniki:

Kserokopia zgonu naszego ojca Józefa Jancza, ktry zginął w Obozie w Oświęcimiu w dniu 09.11.1945r.

Kserokopia aktu zgonu Zofii Zmety w Obozie w Oświęcimiu w dniu 20.02.1946 r.

Kserokopia pisma do Wojewodz Śląskiego 10.07.2001 r.

Kserokopia pisma Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego z dnia 16.7.2001 r. Wskaz osób zamordowanych m.in. w Obozie Koncentracyjnym w Oświęcimiu-Brzezince po zakończeniu II wojny światowej oraz w innych obozach w Polsce i poza jej granicami

*(dalsza korespondencja dotycząca sprawy znajduje się na stronach
www.Slonsk.de)*

Bielsko-Biała, 16 czerwca 2002

Józef Jancza
Ul. Słowackiego 82/1
43-300 Bielsko-Biala

NADANIA

Dowód obłożenia nr _____ Masa _____ g

a) Poczta Polska
Poczta Polska
Poczta Polska

b) Kamkova nr _____ m.

c) 32-600 Chełmno

d) (19.12.99)

e) (dla adresanta)

f) Cło zarach. _____
Cz. wyk. _____

g) _____
h) _____
i) _____
j) _____
k) _____
l) _____
m) _____
n) _____
o) _____
p) _____
q) _____
r) _____
s) _____
t) _____
u) _____
v) _____
w) _____
x) _____
y) _____
z) _____

Pocztowa
mię. naz.
adres i n

BIEŁSKO-BIAŁA
POCZTA
KRAJOWA

750

PREZYDENT
URZĘDU MIASTA OŚWIECIMIA
PAN JÓZEF KRAWCZYK
ul. Zamkowa 2
32-600 OŚWIECIM

Dotyczy : wyrażenia zgody na ufundowanie i wmurowanie tablicy upamiętniającej martyrologię mieszkańców Górnego Śląska i Podbeskidzia na terenie obozu w Oświęcimiu - Brzezince w latach 1945-1947.

Nawiązując do pisma Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, Wydziału Spraw Obywatelskich nr Ob.IX-1-0713/103/2001 z dnia 16 lipca 2001 r. - niniejszym zwracamy się zgodnie z art. 18 ust. 2 pkt. 13 Ustawy z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie terytorialnym - o wyrażenie zgody na ufundowanie i wmurowanie tablicy pamiątkowej wraz ze wskazaniem lokalizacyjnym na terenie obozu w Brzezince, poświęconej eksterminacji niewinnej cywilnej ludności pochodzenia niemieckiego z terenu Górnego Śląska i Podbeskidzia, która padła ofiarą zbrodniczej działalności Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Naszym pragnieniem byłoby również wspomnieć ofiary wywiezione i zamordowane po II wojnie światowej na terenie byłego Związku Radzieckiego.

Zdajemy sobie sprawę, że materia jest bardzo delikatna, ale jeżeli nie my, jeżeli nie teraz - to kto i kiedy da świadectwo prawdzie. W żadnym cywilizowanym systemie prawnym nie ma odpowiedzialności zbiorowej ani wendety na narodzie. To co stało się z naszymi Ojcami i Matkami, Brzońmi i Siostrami, tak po prostu, nie może odejść w niepamięć. Przecież to Oni budowali pomysłność II Rzeczypospolitej, brali udział w wojnie 1920 roku, to nie oni wymyślili faszyzm, tylko padli jego ofiarą, tak jak miliony ludzi różnych narodowości.

Teraz, kiedy nasza wiedza o tamtych latach wzbogaciła się o fakty dotąd ukrywane, zaś świadomość historyczna jeszcze do niedawna była z żelazną konsekwencją manipulowana, uważamy, iż Pan Prezydent nie będzie miał wątpliwości po której stronie się opowiedzieć, czy po stronie katów, czy ofiar.

Musi przeniknąć do powszechnej świadomości społecznej prawda historyczna, bo tylko na jej podstawie można budować dobroświadczone stosunki. W naszej tradycji chrześcijańskiej nigdy cel nie uświęca środków, a tym bardziej, gdy morduje się ludzi ze szczególnym udręceniem. O tym wszystkim codziennie mówi zwiedzającym Muzeum Oświęcimskie. I w tym miejscu chciałoby się zadać pytanie: Gdzie jest jeszcze jeden taki brat?

Panie Prezydencie, szczególnego Miasta i szczególnego Miejsca, apelujemy do Pana, o przychylenie się do naszej prośby, aby mogliśmy wmurować tablicę jako namiastkę cementarza naszych poległych Braci i Sióstr, którzy wybrali tę polską Ziemię i nazwali ją swoją Ojczyzną.

Niech nam będzie wolno, podziękować Panu Prezydentowi za pozytywną decyzję, wierzymy gorąco, iż właśnie taka zapadnie, przecież wyznajemy te same wartości.

W imieniu członków rodzin pomordowanych oraz innych osób zainteresowanych upamiętnieniem zbrodni, ku przestroze dla następnych pokoleń, podpisy zbliżył:

- Załączniki: *Jozefina* *Janina* *Bożena*
1. Kserokopia aktu zgonu naszego ojca Józefa Jancaza, który zginął w Oborze w Oświęcimiu w dniu 09.11.1945r.
2. Kserokopia aktu zgonu Zofii Zemeły w Oborze w Oświęcimiu w dniu 20.02.1946 r.
3. Kserokopia pisma do Wyższego Sądu Ślaskiego z dnia 10.07.2001r.
4. Kserokopia pisma Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego z dnia 10.07.2001r.
5. Wykazimienie osób zamordowanych m.in. w Oborze Koncentracyjnym w Oświęcimiu-Brzezynie po zakończeniu II wojny światowej oraz innych obywateli w Polsce i poza jej granicami.

PROSTE PYTANIE I SKOMPLIKOWANA RZECZYWISTOŚĆ

**LIST DO REDAKCJI TYGODNIKA MNIEJSZOŚCI
NIEMIECKIEJ „SCHLESISCHES WOCHENBLATT”**

W „Schlesisches Wochenblatt” nr 21 z 24-30 V 2002 ukazał się artykuł „Pytanie jest proste!”, w którym wyrażona została opinia, jakoby akcja Ruchu Autonomii Śląska, związana z możliwością deklarowania w spisie powszechnym narodowości śląskiej, była nadużyciem i wykroczeniem przeciwko współpracy z TSKN. Opinia ta jest sporym nieporozumieniem, którego wyjaśnienie pozwolę sobie zacząć od przytoczenia podstawowych faktów.

Ruch Autonomii Śląska, zrzeszający ludzi o różnych opcjach narodowych, w żadnym ze swoich oświadczeń, plakatów, ulotek itp. nie namawiał do deklarowania narodowości śląskiej tych, którzy uważają się za Niemców bądź Polaków. Nasza akcja miała charakter informacyjny, czego świadectwem jest użyte przez nas hasło: „Masz prawo deklarować narodowość śląską”. Stwierdzenie to odpowiada założeniom spisu, zgodnie z którymi narodowość jest cechą deklaratywną, a więc kwestią poczucia każdego człowieka. Warto dodać, że w specjalnej ulotce, kolportowanej przez RAŚ na obszarach zamieszkałych przez mniejszość niemiecką, znalazł się też apel: „Jeśli jesteś Niemcem, potwierdź swoją narodowość”. Podobny w swej wymowie był również otwarty list do Ślązaków, sygnowany przez grono naukowców. Szkoda, że w innym tonie przemówili do mieszkańców regionu liderzy TSKN, stwierdzając arbitralnie, że „narodowość śląska nie istnieje”. Istnienie narodowości śląskiej nie jest uzależnione od woli czy przekonania jakichkolwiek polityków. Niemniej jednak, jeśli kwestia ta budzi wątpliwości zarządu TSKN, gotowi jesteśmy podjąć na ten temat publiczną debatę, która być może pozwoli wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie.

Pan poseł Henryk Kroll zarzucił nam, że informując o możliwości deklarowania narodowości śląskiej złamaliśmy niepisaną umowę między naszymi organizacjami. Należy podkreślić, że Ruch Autonomii Śląska nigdy nie zobowiązał się do milczenia w kwestii spisu powszechnego. Wręcz przeciwnie, już na opolskim spotkaniu Górnos Śląskiego Okrągłego Stołu w dniu 9 lutego br. daliśmy jasno do zrozumienia, że spis będzie dla nas okazją do zmanifestowania śląskiej tożsamości narodowej. Wówczas nie wzbudziło to sporów, a przecież na sali obecni byli członkowie władz TSKN.

Mamy nadzieję, że kontrowersje, które pojawiły się podczas spisu, nie staną na przeszkodzie dalszej współpracy naszych stowarzyszeń.

Współpraca ta jest nie tylko możliwa, lecz wręcz potrzebna, mimo różnicy zdań w niektórych, nawet dość istotnych dla Górnego Śląska kwestiach.

ROCZNICOWE FAŁSZERSTWO

Osiemdziesiątą rocznicę objęcia polską administracją wschodnich obszarów Górnego Śląska senat Najjaśniejszej Rzeczypospolitej postanowił uczcić stosowną uchwałą. W jej niezwykle podniosłym tekście znalazły się znane już i osłuchane twierdzenia o 600-letnim marzeniu Ślązaków o połączeniu z macierzą i ich niezłomnej woli trwania przy polskości. Uchwała dowodzi, że przedstawiciele klasy politycznej nie tylko nie znają się na rządzeniu krajem, co stało się oczywiste już dawno, ale nie mają też pojęcia o historii. Samo w sobie nie stanowi to zaskoczenia dla obserwatorów poczynąń polskiego establishmentu, szczególniego wymiaru nadaje jednak całej sprawie fakt, że zbiegła się ona w czasie z zakończeniem Narodowego Spisu Powszechnego, który przyniósł skandaliczne fałszerstwo badania narodowości mieszkańców Śląska. Zbieżność ta winna skłaniać do refleksji nad bilansem osiemdziesięcioletnich rządów polskich na wschodnim Górnym Śląsku i nieco krótszych w zachodniej części regionu. Brak dotąd rzeczowej dyskusji na ten temat, a tę trudno zastąpić okolicznościowymi akademiami, których wymowa nie uległa zmianie od kilkudziesięciu już lat. Tymczasem wypada zadać szereg pytań fundamentalnych dla zrozumienia śląsko-polskich relacji w tym burzliwym okresie i określenia oczekiwań mieszkańców regionu wobec swych politycznych reprezentantów oraz warszawskiej centrali. Czy z perspektywy owych osiemdziesięciu lat można powiedzieć, że nadzieje związane z Polską przez część Górnos Ślązaków zostały spełnione? Czy Górny Śląsk pod polskimi rządami doznał cywilizacyjnego awansu? Czy władze RP stworzyły jego mieszkańcom warunki duchowego i materialnego rozwoju? Jak w kontekście twierdzeń o polskości tej ziemi zinterpretować ustawy językowe z okresu międzywojennego, na mocy których etniczni Ślązacy usuwani byli ze stanowisk, czy etniczne czystki w latach 1945-49 lub tzw. akcję łączenia rodzin? Nie chodzi przy tym o tworzenie katalogu krzywd, który stanowiłby bezużyteczną księgę martyrologii Ślązaków, lecz o wyciąganie wniosków z w końcu nie tak odległej przeszłości, by nie powtórzyć popełnionych błędów. Być może najwyższy już czas na rewizję postaw wobec rządów Warszawy, która nie może od lat wyżyć się swej kolonialnej mentalności, czego kolejnym dowodem stał się spis powszechny.

ze stron www.RASlaska.org



V-8523/248/10240/2000

Oświęcim, dn. 9. 08. 2000 r.

**PAŃSTWOWE
MUZEUM
AUSCHWITZ-BIRKENAU
w Oświęcimiu**

ul. Więźniów Oświęcimia 20
32-603 Oświęcim 5
NIP 549-000-55-49

Tel. 033/843 20 22
033/843 20 77
Fax 033/843 19 34
033/843 22 27

Pan
Józef JANCZA
z Rodziną

ul. Słowackiego 82
43-300 Bielsko-Biała

W odpowiedzi na list z dnia 5 bm. informuję uprzejmie, że nie jesteśmy w stanie wskazać mogił więźniów, którzy zmarli w funkcjonującym w pierwszym roku po drugiej wojnie światowej w Oświęcimiu obozie pracy zorganizowanym przez ówczesne radzieckie i polskie władze (Państwowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego) dla osób pochodzenia niemieckiego. Wiadomo jedynie, że niektórych zmarłych w 1945 r. w Oświęcimiu niemieckich jeńców wojennych pochowano na cmentarzu przy ul. Dąbrowskiego, w pobliżu oświęcimskiej stacji. Nie można wskazać konkretnych miejsc pochówku wymienionych więźniów.

Zasadniczym zadaniem tutejszego Muzeum jest utrwalanie pamięci o ofiarach nazistowskiego ludobójstwa, stąd też sprawy dotyczące wymienionych więźniów P.U.B.P. i niemieckich jeńców wojennych nie były przedmiotem naszych badań. W ciągu ostatnich trzech dziesięcioleci okazjnie przejęliśmy i dołączyliśmy do naszych zbiorów archiwalnych nieliczne, pochodzące z różnych źródeł, materiały dokumentalne z informacjami o losie więźniów P.U.B.P. i niemieckich jeńców wojennych. Wśród tych materiałów posiadamy kserokopię części parafialnej księgi zgonów „Liber Mortuorum Brzezinka, t.III ab. an 1921-1975” z zapisem dotyczącym śp. Pańskiego ojca Józefa Janczy ur. 17. 03. 1890 r. w Hałcnowie, zmarłego 9. 11. 1945 r. w obozie P.U.B.P. w Oświęcimiu-Brzezince. Załączamy kserokopię stosownego fragmentu tego dokumentu.

Być może będą mogły Panu udzielić bliższych informacji następujące instytucje:

- Urząd Parafii Rzymskokatolickiej Wniebowzięcia NMP, 32-600 Oświęcim, ul. Dąbrowskiego 5A, tel. 8422866
- Urząd Parafii Rzymskokatolickiej NMP Królowej Polski, 32-600 Oświęcim-Brzezinka, ul. Ofiar Faszyzmu 11, tel. 8432613
- Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, 40-009 Katowice, ul. Warszawska 19, tel. 2537331

2

Załączamy też kserokopię fragmentu jednej z naszych publikacji ze wzmianką o losie wojennych jeńców niemieckich i więźniów P.U.B.P. w 1945 r. w Oświęcimiu. Szersze informacje na ten temat zawiera opracowanie Zygmunta Woźniczki pt. „Z działalności polskiego i radzieckiego aparatu represji na Górnym Śląsku w 1945 roku” zamieszczone w książce „Obozy pracy przymusowej na Górnym Śląsku” (Katowice 1994, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego), w którym występują niestety istotne merytoryczne nieścisłości.

DYREKTOR

mgr Jerzy Wróblewski
mgr Jerzy Wróblewski

Załączono

- kserokopię fragmentu księgi zgonów-1 karta
- kserokopię fragmentu książki „Ostatnie dni obozu Auschwitz”- 2 karty

Bielsko-Biała, den 25.03.2001

Josef Jancza
43300 Bielsko-Biała
ul Słowackiego 82

**An die Wojewodschaft
Herrn Willibald Winkler
Katowice
Jagielonska Straße 25**

ANTRAG AUF DEN BAU EINES DENKMALS ZUR ERINNERUNG AN DIE OPFER

Wir, die letzten zurückgebliebenen Verwandten, Bekannten und Kinder von den verstorbenen Gefangenen des Lagers Auschwitz wenden uns an den Herrn Wojewoden mit einer großen Bitte, den Bau eines Denkmals auf dem Gelände des früheren Arbeitslager in Auschwitz Birkenau zur Erinnerung an die Opfer zu erlauben. Wir wollen damit den erlittenen Unrecht der deutschen Bevölkerung gedenken. Viele unschuldige Opfer, die aus Oberschlesien und dem Beskidenland stammten wurden nach dem 2. Weltkrieg in Jahren 1945 - 1947 als Gefangene in diesem polnischen Arbeitslager verfolgt und ermordet. Viele haben dort ihr Leben verloren oder kamen als Behinderte zurück.

Der Bau eines solchen Denkmals wäre mit Sicherheit eine großzügige Geste der Dankbarkeit und der Versöhnung. Die Erinnerung an viele Tausende unschuldiger Opfer entspricht dem Geiste der beiderseitigen Vereinbarung zwischen Polen und Deutschland aus dem Jahre 1991 und dient der guten Nachbarschaft und dem Frieden.

Wir bitten herzlich um Ihre Zustimmung für unseren Antrag.

Josef Jancza**Anlage:**

- Auszug Deutsche Verstorbene aus unserem Wohnbezirk
- Abschrift der Sterbeurkunde unseres Vaters, gestorben im Arbeitslager Auschwitz, ausgestellt in Oświęcim

*(Überstzung aus dem Polnischen,
Brief aus Echo Slonska Nr. 2_12/2001)*



SILESIA - OBERSCHLESIE - GÓRNY ŚLĄSK W ZNACZKACH POCZTOWYCH

Kiedy losy wschodniej części Górnego Śląska w latach 1919 - 1922 ważyły się w swojej historii, w ciągnięciu liny do Polski, Niemiec, czy nawet do Francji, mieszkańcy tego skrawka bogatej ziemi żyć też musieli normalnie.

Z ramienia komisji europejskiej z Francji, Anglii i Włoch wydawano takie czy inne zarządzenia funkcjonowania serca przemysłu europejskiego. Jedni mówili - osłabić Niemca, inni - wzbogacić Polskę, a jeszcze inni myśleli, że dostaną tę ziemię dla siebie, w ramach prac komisji.

Tak powstały też znaczki pocztowe z tego okresu lat wydane przez francuską grupę

COMMISSION DE GOUVERNEMENT

z zapisem w 3 językach

HAUTE SILESIE
OBERSCHLESIE
GÓRNY ŚLĄSK

w nominacji: 10 Pf 20 Pf 30 Pf 50 Pf 60 Pf.

Znaczki wysyłane były - jak wynika ze stempla pocztowego z Kattowitz, Hindenburg, (Zabrze) i innych miast w latach 1920 do 1922.

Serie tych znaczków znajdują się w prywatnych rękach kolekcjonerów.

Kto wie więcej na temat historii i losów tych znaczków proszony jest o rozszerzenie informacji na ten temat. Dziękuję.

Glück - Auf! Szczęść Boże

Peter Karl Szczepanek



Oto urywek książki Petera Karla Szczepanek pt.

AUGUST KISS, Z KRAINY PRZYCHODZĄCYCH I ODCHODZĄCYCH

Z rozdziału poświęconemu rzeźbie „hl Michael” - pod tym samym tytułem: „Św. Michał Archanioł” a w nim podrozdział:

WSPÓŁCZESNY „MICHAŁ ARCHANIOŁ” DLA GÓRNOŚLĄZAKÓW W CHORZOWIE

Wspomniany współczesny rzeźbiarz z Paprocana, August Dyrda ma po niekąd też coś z św. Michała Archanioła, w jego pracy twórczej, się rozumie. Wykonując na zlecenie Górno-Ślązaków z Chorzowa, dzieło ich rodaka, Theodora Kalide z przed 150 lat, słynnego przemysłowca, właściwie założyciela śląskiego przemysłu - Grafa, Friedricha von Reden, można takie zrobić przyrównanie do św. Michała. Pomnik postaci Fryderyka von Reden, nie w zbroji rycerza, a w galowym mundurze górniczym, wprowadzał spokój i wewnętrzne bezpieczeństwo Ślązacom jego nastrojem spokoju, oddanego honoru, i czci temu, który jeszcze do niedawna dawał stanowiska pracy ich przodkom. Sto lat, ten niczym współczesny „Michał Anioł” chronił na Wzgórzu Redana w Chorzowie ich mieszkańców. Tak teraz od września 2002 czynić to będzie dalej, po odsłonięciu tego pomnika w kopii wykonanej przez Augusta Dyrkę z Paprocana. Może niektórzy Polacy, nie znający motywacji i historii związanej z Fryderykiem von Reden dla całego Śląska, zrozumieją i nie będą dalej walczyć z Redenem, przyjacielem tej krainy, dzięki któremu oni sami tu przybyli ze wschodniej części Polski!

Dla Wzgórza Redena sanacyjny rząd polski z Michałem Grażyńskim, dla przeciwwagi, wyrzywa następny kościół z jego korzeniami, z Kunrowa

koło Gliwic stawiając tam, na przecie pomnika Redena kościół drewniany hl. Laurentiusa, (św. Wawrzyńca), z tradycją od 1599 roku w Knurowie! Tak na wschodnim, czarnym Górnym Śląsku nie tworzono nic nowego, a jedynie przetasowywano stare historie i tradycje, niszcząc w ten sposób rodzimą w danym miejscu kulturę. Niczym pogańscy słowianie, zacierali po sobie ślady przeszłości. Nie zawsze imię Michał, ma coś z Archanioła. Wiele takich przykładów można podawać z kościółkami, jak i Graf von REDEN został w tym samy roku, w 1939 zdemolowany przez nieznaną sprawcę. Ta śląska walka stała z przeciwnościami - różnych kultur, różnych zapatrywań na Śląsk!

W 1940 rzeźbiarz Drobek na wzór Th. Kalidy wykonał drugą rzeźbę, którą odlano w Gliwicach w 1940 roku, odsłonięcie dokonano 7.7.1940 roku - na „Wzgórzu Redena” w Chorzowie.

W 1946 nieznani sprawcy w nowych władzach znów zburzyli to dzieło! Wzloty i upadki Śląska.

Na szczęście w naszym przypadku - naszych artystów, rzeźbiarzy widzimy i z dzisiejszym, żyjącym Augustem Dyrką, jak koło dobrej roboty na rzecz Górnego Śląska zamyka się w twórczości dwóch wspaniałych rzeźbiarzy śląskich, Kissa i Kalide, działających głównie w Berlinie, ale z tematyką zawsze pośrednio ocierającą się o problemy śląskie. I za to jesteśmy im i Dyrdzie wdzięczni.

Peter Karl Szczepanek

Monheim/Rh, den 26.6.2002

Peter Karl Szczepanek
Holzweg 40
40789 Monheim am Rhein
Tel/Fax 02173-66742

Der Tichauer Bildhauer, August Dyrda - schuf in den Jahren 2001-2002 ein Werk - ein Denkmal - „**Friedrich Graf von Reden**“ (1752-1815) nach dem oberschlesischen Bildhauer **Theodor Kalide** (1801-1863) von 3 Metern Höhe, dessen

Reden-Denkmal am 6.Sept in Königshütte O/S

Schon zum dritten Mal in der Geschichte Oberschlesiens **enthüllt wird**.

Friedrich Wilhelm Graf von Reden (1752-1815), - Staatsminister

Am 19. August 1778 schrieb Friedrich der Große aus dem Lager bei Burkersdorf (bei Schweidnitz in Schlesien) an den damaligen preußischen Bergbauminister Friedrich Anton Freiherr von Heynitz:

„Mein lieber Etats Minister Frh. von Heynitz, Ich erteile Euch auf Eurer Schreiben vom 15. dieses Monats hierdurch zur Antwort, dass Ich, bei den Euch angeführten Umständen, dem Friedrich W. Baron v. R e d e n, den nachgesuchten Titel, vom Cammerherrn, wohl accordinen will, und das nöthige deshalb bereits haben ergehen lassen: Wie Ich denn davon zufriedenen bin, dass er bei Eurem Departement, in der qualite' eines Ober-Berg-Rath, in Schlesien, mit arbeitet.“

Am 31. Decbr. 1778 ist Baron v. Reden im Plenum des besagten Departements zugefertigt und vereidigt worden.

Friedrich Wilhelm Graf von Reden wurde am 23.März 1752 in Hameln / Harz im König-reiche Hannover geboren. Nach gründlicher Ausbildung auf der Universität zu Göttingen, schon früh dem Berg- und Hüttenfache hat er sich gewidmet. Er bereiste nicht nur viele deutsche Berg- und Hüttenwerke, sondern auch England und Schottland, Frankreich, wo sich damals der Stein-kohlenbergbau, (Flötzbergbau) die Roh- und Schmiedeeisen-Erzeugung bei Steinkohlen und die Anwendung der Dampfmaschinen rasch und in einer Weise entwickelte. Er arbeitete zwei Jahre mit neuem Schwung und der Entwicklung in Waldenburg/ -Schweidnitz, Giehren/-Jauer und Reichenstein/-Fürstentum Münsterberg und Grafschaft Glatz. 1779 wurde er zum Direktor des Schlesischen Oberbergamtes in Tarnowitz ernannt. Gegen Ende April 1780 ging Reden nach Breslau und übernahm die Directorial-Geschäfte.

Am 14.Oktober 1786 wurde von Seiner Majestät des Königs Friedrich Wilhelm II. Friedrich von Reden zum Geheimen Ober-Finanzrat ernannt.

Nach den vielen Reisen nach England, Schottland, Nord Frankreich, Niederlande-Belgien wurde Reden zum Ober-Berghauptmann in 1802 und Wirkliche Geheimen Staatsminister ernannt.

1807 zog er auf sein Schloss in Buchwald / Riesengebirge, wo er am 3. Juli 1815 starb.

Die blühenden 25 Jahre in Schlesien von Graf von Reden waren auch die blühendsten Zeiten des Landes Oberschlesien. Reden schuf die Industriebasis der Region nicht nur im Bergbau und Hüttenfache, er sorgte für die Infrastruktur, indem er die Transportwege verbesserte, Wasserkanäle entwickelt, Bergarbeitersiedlungen bauen ließ, sich um die allgemeine Schulbildung und den bergmännischen Nachwuchs kümmerte. Sein geologischer Spürsinn ließ ihn neue Lagerstätten finden, und seine naturwissenschaftlichen und technischen Kenntnisse erlaubten ihm, sie zu erschließen. Er führte technische Neuerungen ein, z.B. die Gewinnung von Stahl mit Hilfe von Koks - seit 1789 oder 1788 eine englische Dampfmaschine zur Wasserhaltung im Bergbau (Tarnowitz), die dann in Schlesien nachgebaut wurde.

1786 wurde Reden in Anerkennung seiner Verdienste um den schlesischen Bergbau in den Grafenstand erhoben.

Eine Ausstellung der Stiftung Schlesien, Hannover „Schlesisches Eisen -

Zum 250. Geburtstag von Friedrich Wilhelm Graf von Reden“ findet am 14. Juli bis 8 September 2002 im Oberschlesischen Landesmuseum in Ratingen Hösel, Bahnhofstr. 62 statt.

Die Jahre waren vergangen, nach den Kriegen wieder schien die Sonne des Friedens. Da erzählten die alten Häuer von Vater Reden und seiner Zeit. Auf der Erde ist der Industrielle Franz von Winkler auf Miechowitz mit dem Roten Adlerorden 4. Kl. erschienen. Er hat dem Grafen von Reden ein Standbild zu gestalten, vorgeschlagen, den allerhöchsten Beifall des Königs Friedrich Wilhelm IV. gefunden. Der König hat zur Herstellung des Modells 2500 Rtl geschenkt. Der oberschlesische Bildhauer, Professor Theodor Kalide hat den Entwurf gemacht: Der zu einem 10 Fuss hohen Standbild von Erz, in Puffjacke und Leder, in bergmännischer Kleidung, die linke Hand auf einem ausgebreiteten Grubenplan zeigend, die Rechte am Steigerhäckel.

Das Modell - Theodor Kalide, ziselierte Kunstmetallgießer C. Warmuth in Berlin.

„Da steht auf dem 12 Fuß hohen Postament der echte Bergmann, wie Reden es war, angesichts der Königshütte, eine der größten Schöpfungen, mit seinen zahllosen Werken, welche ringsum ihre Rauch- und Feuersäulen zum Himmel senden. Mögen sie wachsen und gedeihen, diese Stätten des Fleißes, damit noch später die Enkel sich allda begegnen mit fröhlichem Glückauf.“



Und der König war am 29 August 1853 an der festlichen Enthüllung des Reden-Denkmal, wo steht:

Friedrich Wilhelm Graf von Reden,

geb. den 23. März 1752,
gest. den 3.Juli 1815

Die Rückseite:

Dem Begründer des schlesischen Bergbaus die dankbaren Gruben- und Hütten-Gewerke und Knappschaften Schlesiens 1852.

Am **6. September 2002**- neue Enthüllung in **Königshütte (Chorzów)**: Das Modell - nach Theodor Kalide - August Dyrda (geb. 1926 in Tichau) ziselierte Kunstmetallgießer Sobociński in Poznań.

Peter Karl Szczepanek



SCHROEDER CHCE SAMO- DZIELNEGO I NEUTRALNEGO TESCHNER LANDES

Jest rok 1919. Wokół diabelskiego wersalskiego kotła do kierego wciępa-
no Schlesien-Shlonsk trwajóm tajemne szatańsko-woyjne tance, ironicz-
ne chichoty i aroganckie pokrzyki. Ogiyń polóm Francjanie i Polanie.

Inni też grzejom swoje ciała.

Edward August Schroeder, geboren w 1852 roku in Teschen (w Ciesz-
ynie), mo już ugruntowane światowe (!) uznanie naukowe. Jego publi-
kacje, ekonomiczno-prawno-socjologiczne tłumaczone nawet na jynzyk
japoński, miał też juz zaproszyny do objyncio katedry na Uniwersytecie w
Waszyngtonie, ale nie skorzystał.

Schroeder tyn najwiynkszy naukowiec Cieszynskiego Shlonska (choć i na
Pruskim Górnym Shlonsku ciynżko takigo znolysć), mo wielki doświad-
czeni życiowe, o czym świadczo też i Jego lata i cauo wielostronno
działalność naukowo-społeczno-gospodarczo. Dom familijny przy Rynku
7 w Cieszynie (pacz: EchoSlonska-Nr4) od wielu pokolyn - z elegancim
wykuszem - tak ukochou, podobnie jak emocjonalnie zwionyou sie ze
stadt'tym i cieszyńskom ziymiom (Teschener Land), że ani myślou o jego
zostawiniu w krytycznym 1920 roku. Przeżył już też dwóch znakomi-
tych wieloletnich burmistrzów miasta Teschen - ojca i syna - von Elswehr
(Johann i Leonard), musiou też zapewne poznać i wnuczka Hansa (1886-
1951) - dyrektora naczelnego Muzeum Historii Sztuki w Wiedniu.

Schroeder razym z „Shlonzaci” (Slonzokami - Józefa Koźdonia - przy-
wódcom Śląskiej Partii Ludowej) chce ybudować

Teschener Land jako

samodzielne (selbständiges), neutralne (neutrales) Państwo Cieszyńs-
kie pod „sympatycznym” protektorem Zjednoczonych Stanów
Północnej Ameryki.

Teschen to klein Wien - mały Wiedeń, wtedy!

Na poparcie i uzasadnienie swoich żądań wydaje w tymże 1919 roku
dwa manuskrypty z umotywowaniem postulatu. Poniżej strony tytułowe
manuskryptów wraz z obszernym fragmentem jednego z nich.

W umotywowaniu Prawa do Samodzielności i Wolności wskazuje Schro-
eder na swoje największe dzieło (das Hauptwerk) - Das Recht der Freiheit
- Prawo do Wolności, która w wersji angielskiej oddziałała również m.i.
na poglondy prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrow'a Wilson'a
(wydane w Leipzig 1901, później też w jynzyku japońskim).

Jak wiemy, zarzondzony Plebiscyt na Shlonsku Cieszyńskim sie potym
nie odbył, bo Polocy boli sie Czechów, a Czechy Shlonzokow i „Schroe-
derów”, Cieszyn zaś bileśnie podzielono - roztargano. (Wilson nawet nie
wiedziou kaj jest stolica Polski - bo myślou, ze niem jest czesko Praha. A
o Shlonsku to chyba nigdy nie słyszou - tako jest prawda o tamtych cza-
sach.)

A jaki by teraz był to rodzynek - Państwo w Europie, jakby wtedy tyn
Shlonsk Cieszyński z dodanym jeszcze ksiynstwem Raciborskim było
jedno! Kanałym Odra-Dunaj z Raciborza by My teraz jechali do Wiednia
abo i do Wratislawio. W Cieszynie zaś wszystkie dynkmale stołyby na
swoich miejscach i byłyby opisane, a Uniwersytet byłby prawdziwy a nie
poczontkowo szkółka. Tramwaj też by był naswojim miejscu.

A tak co momy? Obejrzyjcie zamek w Raciborzu, abo prziglondnijcie sie
„alkoholowym mrówkom” na ... Kaiser Franz-Josef-Brücke w Cieszynie.
Obraz nendzy i rozpaczy.

Nastympny roz: Schroeder - socjolog, w walce z alkoholizmem!

Ewald Bienia

Junii 2002

(pacz: "Schroeder w Cieszynie" - Echo Slonska Nr. 3_01/2002)

Die Neutralitätserklärung des Herzogtums Teschen

vom
5. März 1779.

Denkschrift zur völkerrechtlichen und staatsrechtlichen Stellung

des
Teschner Landes.

Von

Eduard August Schroeder—Teschen,
dem Begründer des wissenschaftlichen Rechtssozialismus.

Bergl. unter anderem: **Kokumin Shimbun, Tokio** Nummern
vom 23. und 26. Jänner 1904 und „**Neue freie Presse**“, Wien
Nr. 11.485 vom 14. August 1896: **Der Rechtssozialismus.**

Teschen, 1919.

Als Manuskript gedruckt.

Denkschrift zum Selbstbestimmungsrechte des Teschner Landes.

Von

Eduard August Schroeder—Teschen,
dem Begründer des wissenschaftlichen Rechtssozialismus.

(Bergl. unter anderem: **Le Siècle**, Paris, 11. Dezember 1901, Nr. 23.008, **Le Droit
de la Liberté.**)

Teschen, 1919.

— 6 —

— 8 —

Und nun ist unser kleines, aber sehr reiches und seiner Kultur nach durchaus deutsches Ländchen ein von drei Nationen umstrittener Zankapfel geworden und wird es zuverlässig und unabwendbar auch fernerhin bleiben, wenn mein Vorschlag auf dem Friedenskongresse nicht verdrängt werden sollte.

Schlesien den Schlesiern! Ostschlesien stellt vom Standpunkt der geistigen und materiellen Kultur einen ausschließlich deutschen Besitzstand dar. Mit den Deutschen stehen Schulter an Schulter die bodenständigen slawischen Schlesiern, die Slonsaci.

Durch den Putsch in der Nacht vom 31. Oktober auf den 1. November haben sich die Polen in den Besitz des Landes gesetzt und nach und nach eine beträchtliche Militärmacht hierher zusammengezogen.

Vom Westen her sind die Tschechen in unser Land eingedrungen und hielten zunächst dessen westlichen Teil besetzt. Es kam bereits am 23. bis 26. Jänner 1919 zu blutigen Kämpfen zwischen diesen beiden Streitkräften. Am 27. Jänner 1919 bemächtigten sich die Tschechen ohne Kampf der Stadt Teschen selbst. Im Norden von Teschen folgten bis gegen Schluß des Monats neue Kämpfe.

Die Deutschen verhielten und verhalten sich durchaus neutral, ruhig und zuwartend; sie vertrauen auf ihr Selbstbestimmungsrecht und auf den rechtlichen Besitz ihrer Heimat und sind hierin eines Sinnes mit den Slonsaci.

Es ist ganz und gar ausgeschlossen, daß eine der beiden im Kampfe um unsere Heimat entbrannten slawischen Nationen Ostschlesien der anderen freiwillig räumen würde. Es ist gegenteilig ganz gewiß, daß das Teschner Land auf Jahrzehnte hinaus ein heiß umstrittener Zankapfel zwischen Polen und Tschechen und Deutschen bleiben und die Ruhe Mitteleuropas fortdauernd gefährden wird, wenn nicht der fundamentalste Grundgedanke des wissenschaftlichen Rechtssozia-

— 7 —

alismus, das Selbstbestimmungsrecht der Völker und Individuen auch hier zur lebendigen Geltung gelangt.

Was den laubfremden Polen und Tschechen das Teschner Land so überaus begehrtlich macht, ist durchaus klar und unzweifelhaft, es ist eben der deutsche Besitzstand: unsere reichen Kohlenschätze, unsere schwunghafte Industrie und unsere großen Holzbestände.

Für Polen und Tschechen wäre dieser deutsche Besitzstand nichts anderes, als eine Eroberung, eine mühe- und kostenlose, durch und durch imperialistische Macht- und Vermögensvermehrung. Und dadurch allein ist es zu erklären, daß wir hier die blutigsten Schrecken des Friedens erfahren mußten, daß unsere friedliche Heimat der Schauplatz wilder Kämpfe geworden ist, daß wir zeitweilig von allem Verkehr mit der übrigen Welt abgeschnitten wurden.

Das Teschner Land ist aber gerade durch seinen Kohlenreichtum von ungeheurer Bedeutung für die so fürchterlich bedrängte Stadt Wien und Deutschösterreich.

Hier helfend eingzugreifen ist Menschlichkeitspflicht. Und es ist nun Gelegenheit geboten, daß sich Deutschösterreich seine Kohlenversorgung für alle Zukunft sichere.

Wenn das Teschner Land als ein selbständiges, neutrales Staatsgebiet unter dem uns so sympathischen Protektorate der Vereinigten Staaten von Nordamerika erklärt werden würde, so wird es mit freudiger Bereitwilligkeit die Verpflichtung der Kohlenversorgung Wiens und Deutschösterreichs unter billigen Bedingungen übernehmen.

Allerdings könnte die Internationalisierung der Nordbahn von Oberberg bis Lundenburg als notwendige Ergänzung und als eine durchaus gerechte Forderung erscheinen, welche nicht allein das Teschner Land zu seiner staatlichen Lebensmöglichkeit mit allem Nachdrucke zu verlangen berechtigt wäre, sondern auch im vitalsten Interesse Deutschösterreichs einerseits und Polens andererseits läge; aber, wir stellen diese Forderung nicht. Vom ganzen

Herzen wünschen wir den neuen Nachbarstaaten unserer Heimat das beste Gedeihen und gewiß wird der zukünftige neutrale Freistaat Teschen mit ehrlichem Bestreben das freundschaftlichste Verhältnis mit ihnen unterhalten; nur sollen sie ihre Hände wegziehen von unserer Heimat.

Wir wollen daher jeden Anlaß zum Zwist mit unseren Nachbarn vermeiden, ja hinwegräumen und in diesem Empfinden die Internationalisierung der Nordbahn nicht verlangen, wir wollen jede Verstimmung, die dadurch vielleicht hervorgerufen werden könnte, hintanhalten und beanspruchen nur für das Teschner Land und seine Bevölkerung die rechtskräftige Gewährleistung der ungehinderten, völlig freien Warendurchfuhr und des unbehelligten Personen- und Postverkehrs auf der Nordbahn durch tschechisches Gebiet.

Und so formuliere ich denn meine Idee und meinen Vorschlag im Geiste der Ergebnisse meiner sozialwissenschaftlichen Rechtsuntersuchungen (Leipzig, 1892—1901):

Die interalliierten Großmächte mögen:

1. das Teschner Land durch eine amerikanische Truppenmacht schnelligst und ohne jeglichen Aufschub besetzen und gleichzeitig einen bodenständigen Ostschlesier, welcher beider Landessprachen (des Deutschen und des Slonsakischen) mächtig ist, zum vorläufigen Landesverweser bestellen,
2. durch eine neutrale Kommission (Schweizer und Skandinavier) eine allgemeine Volksabstimmung der einheimischen Bevölkerung beider Geschlechter dahin vornehmen lassen, ob das Teschner Land
 - a) unter polnische,
 - b) unter tschechische Herrschaft kommen oder endlich
 - c) ein selbständiges neutrales Staatsgebiet mit autonomer Bezirksverfassung unter amerikanischem Protektorate bilden soll;
3. nach dem unzweifelhaften Ausfalle dieser Volksabstimmung, das Teschner Land als selbständiges neutrales Staatsgebiet mit autonomer Bezirksverfassung und mit der Verpflichtung der Kohlenversorgung Wiens und des österreichischen Staates unter dem Protektorate der Vereinigten Staaten von Nordamerika erklären und
4. der Friedenskongress möge bei der tschechoslovakischen Republik die rechtsverbindliche Erklärung der freien, völlig ungehinderten Warendurchfuhr und des unbehelligten Personen- und Postverkehrs auf der Nordbahn durch tschechisches Gebiet für das Teschner Land erwirken.

Es erübrigt mir nur noch drei Richtungen Einwände gegen meine eng umschriebenen Vorschläge im vorhin zu entkräftigen.

Und zwar will ich zuerst der Annahme Raum geben, daß die Bevölkerung eines oder anderen der acht Gerichtsbezirke des Landes in ihrer Mehrheit sich dem polnischen oder tschechischen Volksstamme zuzählen genügt wäre, wie etwa der Friedeker Bezirk dem letzteren: so erscheint durch das bewährte Mittel der autonomen Bezirksvertretung jede Möglichkeit einer nationalen Bedrückung der Boden entzogen.

Zum Zweiten unterliegt es gar keinem Zweifel, daß sich das Teschner Land bei seinen natürlichen und durch Gewerbesleiß erzeugten Reichtümern auch in seiner Selbstständigkeit wirtschaftlich in geradezu glänzender Weise zu erhalten vermag. Die meisten Bedürfnisse wird es durch eigene Produktion decken und das Wenige, was im Lande fehlt, im Austausch für Kohle anschaffen können. Der Handel des Teschner Landes wird unzweifelhaft ein aktiver mit beträchtlichen Überschüssen sein.

Was nun zum Dritten die Frage des Landeszuges anbelangt, so ist zunächst darauf hinzuweisen, daß unser Land, wie ehemals, gar keines besonderen Schutzes bedürfen wird, sobald einmal der alte Landesfrieden wieder eingekehrt ist. Aber ab

— 9 —

VERTEIDIGUNG MEINER GEFALLENEN KAMERADEN VOR VERUNGLIMPFUNG

Michael Frank aus Prag publizierte am 26. August 1994, anlässlich des 50-ten Jahrestages des slowakischen Nationalaufstandes, in der Münchner „SZ“ einen Artikel darüber. Er trägt den Titel: Identitätsstiftend für den jungen Staat.

Herr Michael Frank schreibt dort unter anderem :

„... um den Ruhm der Befreiung der Slowakei nicht den Slowaken selbst überlassen zu müssen, sorgten die Sowjets dafür, dass der Aufstand ... übereilt losbrach und zwangsläufig scheiterte. Effektivste Kraft waren kommunistisch dominierte Partisanen-Trupps (...) Mit ständigen Attacken auf Betriebe, mit Terrorangriffen auf Siedlungen und Einrichtungen der Volksdeutschen, entfachten sie einen Kleinkrieg, der am 27. August in der Festsetzung und der Hinrichtung (lies: Ermordung, H.S.) einer 22-köpfigen, per Zug von Bukarest nach Berlin reisenden deutschen Militärdelegation, gipfelte. Dieser Angriff gilt als eigentlicher Beginn des Aufstands, ...“

„... die Rote Armee stand vor der Tür, nordöstlich der Karpaten, - am Duklapaß, und griff nicht an.“

„Geschichtsdeuter ... interpretieren ... dass Moskau den Aufstand der Slowaken hat mutwillig ausbluten lassen. Es gibt ... Berichte über Behinderung westlichen Nachschubs.“

Es erinnert uns doch an den Warschauer Aufstand, nicht war?

Nun zitiere ich weiter:

„Und statt Waffen und Munition, flog man ... Politkommissare ein, - unter ihren den späteren Hauptverräter am Prager Frühling und CSSR-Staatschef Gustav Husak.“

Kurz darauf kommen dann zwei Sätze, die mich zutiefst betroffen haben, die eine unglaubliche Lüge sind, eine Verleumdung. Denn ich war doch von den ersten Tagen der Besetzung der Slowakei dabei, hatte Augen und Ohren weit offen, und habe das alles miterlebt. Frank erlaubt sich mit frecher Stirn zu behaupten:

„Die Rache der Deutschen war fürchterlich. Die mordeten, schossen und sprengten, in einem Ort wurden 900 Menschen in einem Kalkofen verbrannt, ...“

Als 18-jähriger Soldat der „Tatra“ Division 164 durchquerte ich mit unserer Einheit die ganze Slowakei, vom Norden (Cadca) bis zu der ungarischen Grenze im Süden. Wir waren in Zilina, Strecno, Vruty, Priekopa, Martin, Pribovce, Horna Stubna (Oberstuben), Kremnica, Banska Bystrica, Zlate Morawce, und noch einigen anderen Ortschaften. Überall waren die Einwohner freundlich uns gegenüber. Oft sind wir in ihre Häuser privat zum Gespräch eingeladen worden. Sie hatten keine Angst vor uns und wir fühlten uns auch nicht bedroht ihrerseits. In Banska Bystrica (dem Zentrum der Erhebung) gingen wir oft, 2 - 3 Jungs zusammen, ins Kino, und saßen ohne Waffen zwischen der Zivilbevölkerung. So sicher fühlten wir uns zwischen den Leuten. Die gläubigen Soldaten gingen an Sonntagen in dieselben Kirchen wie die Slowaken, denn die sind ja auch katholisch, wie die meisten Oberschlesier. Eben, Oberschlesier, denn wir rückten in den Krieg von Oppeln aus. Unsere Heimatkaserne war die Panzerjäger-Kaserne in Vogtsdorf (Wojtowa Wies).

In unsere Einheit dienten Jungs aus den Kreisen Rybnik, Cieszyn, Zabrze, Strzelce Opolskie, Raciborz, Lubliniec, Tarnowskie Gory und anderen oberschlesischen Ortschaften. Beinahe alle zweisprachig. Deswegen hatten wir keine Probleme, uns mit den Einwohnern zu verständigen. Wenn man die polnische Sprache beherrscht, versteht man die Slowaken noch besser als die Tschechen. Abgesehen davon, waren dort auch viele deutsche Dörfer, wie z. B. Horna Stubna (Oberstuben), wo wir ein paar Wochen quartierten.

Die Slowakei haben wir erst anfangs März 1945 verlassen. Man hat uns nach Ungarn verlegt, um die Rote Armee in ihrem Marsch nach Wien zu hindern.

In der ganzen Zeit (1/2 Jahr) habe ich nicht von einem Slowaken oder Slowakin, eine Klage über unsere Soldaten gehört. Auch nicht über deutsche Soldaten aus anderen Einheiten.

Daher fühle ich mich gegenüber meinen gefallenen Kameraden verpflichtet gegen die Verleumdung von Herrn M. Frank, der den Versuch unter-

nimmt uns zu Mördern abzustempeln, einen Protest einzulegen.

Wir hegten keine Rachegefühle gegenüber der slowakischen Bevölkerung, denn wofür auch. Sie hat uns doch nichts Böses getan. Die einfachen Leute in den Dörfern und Städten konnten doch nichts dafür, dass einpaar blutdürstige Partisanen (es kann sein, Provokateure im sowjetischen Dienste, um übereilt den Aufstand auszulösen) 22 deutsche Offiziere und Soldaten aus dem Zug herausgezerrt und niedergemetzelt haben. Das war eben ein völkerrechtswidriger Mord. Aber nicht wir haben ihn begangen. Auch die „Terrorangriffe auf Siedlungen und Einrichtungen der Volksdeutschen“, von denen Herr M. Frank spricht, waren nicht unser Werk.

Wenn er schreibt, dass: „... in einem Ort 900 Menschen in einem Kalkofen verbrannt wurden“, und er kennt den Ort nicht? Es müsste doch dort ein riesengroßes Denkmal stehen! So baut man lügenhafte Mythen auf. Nun frage ich ihn konkret: - in welchem Ort? - durch wen und wer wurde verbrannt?

Vielleicht haben die sowjetischen Politkommissare, von denen Herr M. Frank schreibt, veranlasst, oder sogar befohlen, die Holinka-Gardisten dort zu verbrennen, die sie vor ihrem Rückzug von allen besetzten Ortschaften verschleppt haben. Die sind doch ohne Spur verschwunden. Die Einwohner haben uns erzählt, wie die Partisanen mit den Holinka-Gardisten umgegangen sind und was die Männer durchgemacht haben, bevor man sie verschleppt hat. Vielleicht fühlt ihre Spur zu dem Kalkofen? Oder Waren es sogar die „terrorisierten Volksdeutschen“ die man in dem anonymen Kalkofen verbrannt hat? Falls überhaupt jemand verbrannt worden ist und falls ein Kalkofen sich dazu eignet! Die Sowjets, die Kommunisten anderer Nationen mit inbegriffen, waren doch Meister in Lügen und Falschpropaganda. Der ganzen Welt haben sie z. B. 50 Jahre lang eingetrichtert, dass das polnische Offizierskorps das ihnen 1939 in die Hände gefallen ist, in Katyn von den Deutschen umgebracht worden sein soll. Erst Jelzin hat den Mut gehabt bekannt zugeben, dass es das Werk Stalins und seiner Schergen war. Und 1945 hat man in der Sowjetunion nach einem Schauprozess, für den grausamen Mord in Katyn 7 deutsche Offiziere zu Tode verurteilt und aufgehängt.

Den „Vorwurf“, dass wir in der Slowakei geschossen haben, akzeptiere ich. Ja, wir haben geschossen. Beide Seiten schießen im Krieg, wenn sie gegeneinander kämpfen. Bei der Gelegenheit muss ich zugeben, dass unter den Aufständischen auch sehr gute Schützen waren. „Meine“ gepanzerte Selbstfahrlafette, mit einem Panzerabwehrgeschütze 7,6 darauf, bekam einen Volltreffer, und ich hatte viel Glück, dass ich mit dem Leben davongekommen bin. Mit dem vom Autor erwähnten „sprengen“, war es umgekehrt als er suggeriert. Die Aufständischen haben vor uns die Brücken gesprengt, um uns den Vormarsch zu erschweren. Sogar Wegdämme haben sie an einigen Stellen gesprengt, so wie es der Fall war zwischen Strecno und Vruty.

So sah die Wahrheit aus. Dies können auch Einwohner der Ortschaften, wo deutsche Soldaten stationiert waren, bezeugen. Ich war dort im Sommer 1994, zum 50-ten Jahrestag meiner Kriegsdyssee, und habe sogar noch einen guten Bekannten von damals getroffen. Die Freude beiderseits war groß. Wir bleiben jetzt im ständigen Kontakt.

Ich denke, dass ich mit dem kurzem Artikel einen bescheidenen Beitrag zu Bewahrung der Ehre meiner Kameraden von damals geleistet habe. Wir Lebenden können uns noch selbst von solchen Verunglimpfungen verteidigen, aber die Toten nicht mehr. Diese Pflicht lastet auf uns, die wir den Krieg überlebt haben.

Heinrich Sporon

geschrieben am 12.10.1994

H. Sporon
97422 Schweinfurt,
Am Haag 4

BANKNOTY ZASTĘPCZE ŚLĄSKA 1914-1924

W sierpniu 1914 roku, z chwilą wybuchu I wojny światowej, na terenie całych ówczesnych Niemiec odczuwany był dotkliwy brak pieniądza monetarnego o nominałach od ½ do 20 marek. Spowodowane to było poczynaniami państwa, starającego się zwiększyć swoje rezerwy złota, jak też reakcją ludności która pochowała złote i srebrne monety na „czarną godzinę”. Aby zaradzić powstałym trudnościom władze samorządowe, a nawet większe przedsiębiorstwa szybko zdecydowały się na emisję prowizorycznego pieniądza zastępczego, o ograniczonym czasie i terenie obiegu. Nie było to w pełni legalne, ale z konieczności tolerowane przez państwo. Pojawiły się walory zwane notgeldami i nikt początkowo nie przypuszczał, że emisje tego typu występować będą w całej dekadzie 1914-1924.

Zaowocowało to dziesiątkami tysięcy różnorodnych banknotów i bonów oraz tysiącami notgeldów monetarnych.

Również na Śląsku, wtedy prowincji Prus podzielonej administracyjnie na trzy rejencje, było to zjawisko powszechne. Szczególnie dużo wystawców pieniądza tego typu pojawiło się na Górnym Śląsku, czyli ówczesnej rejencji opolskiej. W rejencji wrocławskiej sporo pieniądza zastępczego pojawiło się w samej stolicy – Wrocławiu, jednak prym wiodł tu Wałbrzych. Bogactwo emisji wałbrzyskich początkowo wynikało z jego roli centrum przemysłowego, a później z chęci osiągnięcia dodatkowych wpływów do kasy miejskiej. Podobnie było w rejencji legnickiej, gdzie samą Legnicę zdystansowała Zielona Góra emitująca wiele serii reklamowych, bo przecież miasto to słynęło wtedy ze swych winnic i sadów.

Notgeldy są dziś namacalnym świadectwem historycznym najważniejszego okresu minionego stulecia, gdy na gruzach trzech cesarstw tworzyły się nowe państwa europejskie, w tym też odradzała się niepodległa Polska. Plebiscyt i walka zbrojna powstańców śląskich również zostały utrwalone na tych walorach, szeroko wykorzystywanych do celów propagandowych. Ostateczny kres rozpowszechnianiu lokalnego pieniądza położyła dopiero reforma waluty niemieckiej, kończąca okres hiperinflacji.

Wystawa „Banknoty zastępcze Śląska 1914 – 1924” obejmuje łącznie ponad 2000 banknotów i bonów z około 160 miast i gmin tego regionu. Ekspozycja ma charakter przenośny, gdyż powstała z myślą o prezentowaniu jej w powiatach i miastach śląskich, gdzie emitowano pieniądze tego typu. Z uwagi na jej edukacyjny i regionalny charakter szczególnie godna jest polecenia placówkom oświatowym. Stanowi przecież swoistą swoiste przedstawienie historii regionu i „małych ojczyzn” (powiatów, miast, a nawet gmin). Dzieci i młodzież szkolna na wystawie mają okazję poznać dzieje swego bezpośredniego otoczenia.



BANKNOTY ZASTĘPCZE HUTY FRIEDENSHÜTTE 1916-1917

W czasie I wojny światowej pieniądze zastępcze w postaci bonów pojawiły się również na terenie Nowego Bytomia, dzisiejszej dzielnicy Rudy Śląskiej. Oczywiście nie mogło tu być gminnych emisji samorządowych, bo teren ten stanowił wtedy integralną część miasta Bytom. Mieszkańcy mogli więc posługiwać się edycjami bytomskiego magistratu.

Istniejąca tu jednak huta „Friedenshütte”, będąca największym zakładem przemysłowym w tym rejonie, dla potrzeb swojej licznej załogi wydawała w latach 1916 - 1917 własne, niskonominałowe bony pieniężne. Tak więc dokładnie 18.XII.1916 roku rozprowadzono wśród załogi pierwszą edycję walorów o nominałach 25 i 50 fenigów. Drukowano je jednostronnie na kolorowym papierze, określając od razu ich datę ważności do 31.I.1917 r. Każdy egzemplarz opatrzony był odręcznym podpisem osoby odpowiedzialnej za tę emisję. Pieniądze te przyjmowane były bez ograniczeń w ka-



sie huty i w hutniczym domu towarowym gdzie pracownicy najczęściej zaopatrywali się w podstawowe produkty spożywcze. Jego nazwa „Huttenkaufhaus” po dzień dzisiejszy funkcjonuje w tradycji ustnej. „Kafaus” to teraz jednak nie tylko sam dobrze zachowany budynek domu towarowego, ale zarazem potoczna nazwa całego osiedla robotniczego.

Pierwsza edycja hutniczych notgeldów nie zaspokoiła jednak potrzeb i już w styczniu 1917 roku przygotowano kolejną serię odcinków, które zastąpić miały walory tracące swoją wartość. Tym razem wyemitowano nominały 5, 10, 25, 50 fenigów. Tradycyjnie wykonano je na kolorowym papierze z jednostronnymi nadrukami. Dokładnie sprecyzowano na nich datę emisji 24.I.1917 r. Właściwym emitentem była „Oberschlesische Eisenbahn – Bedarfs – Aktiengesellschaft”, gdyż huta już od 1871 roku wchodziła w skład tego koncernu, założonego przez hrabiego Karola Wolfganga Ballestrema. Pojawiły się też na tych notgeldach nazwiska Buscha i Niemeyera, czyli ówczesnych dyrektorów huty. Początkowo stosowano też odręczny podpis osoby nadzorującej edycję. Nie było to jednak zbyt wygodne. Zapewne też z uwagi na stosunkowo długi okres ważności (do 30.VI.1917 r) i możliwość pojawienia się fałszerstw, zrezygnowano z podpisu zastępując go suchą pieczęcią koncernu „Oberbedarf”. Te lepiej już zabezpieczone odmiany bonów drukowano też na nieci innym papierze.

Omawianymi notgeldami posługiwała się cała załoga huty i rodziny pracowników. Warto jednak nadmienić, że w czasie I wojny światowej, w dzisiejszej hucie „Pokój” pracowało też wiele jeńców wojennych. Dla potrzeb istniejącego przy hucie obozu jenieckiego dyrekcja zakładu emitowała specjalne bony jenieckie. Walory te nie były datowane, jednak można przypuszczać, że używano ich w okresie od 1915 do 1918 roku.

Pieniądze zastępcze huty stanowią dziś ciekawą pamiątkę długoletniej historii tak znaczącego dla rozwoju górnośląskiego przemysłu przedsiębiorstwa.

WIRECKIE NOTGELDY

Związek Spożyców „Antonienhütte” mający swoją siedzibę w Wirku, powstał z końcem XIX wieku. Status spółki akcyjnej, w której najpo-

ważniejszymi akcjonariuszami byli Donnersmarckowie, miał niewątpliwie duży wpływ na to, iż przedsiębiorstwo rozwijało się pomyślnie. Stosunkowo szybko utworzona została sieć sklepów, piekarni i magazynów we wszystkich gminach górnośląskich powiatów oraz miastach gdzie zaangażowany był kapitał Donnersmarcków.

W momencie wybuchu I wojny światowej szybki zanik pieniądza kruszowego w obiegu najdotkliwiej był odczuwany właśnie w handlu detalicznym, tym bardziej że ludność, a zwłaszcza mieszkańcy strefy przygranicznej, gromadziła zapasy żywności na „czarną godzinę”. Aby więc ułatwić codzienne zakupy swoim klientom Związek Spożywców „Antonienhütte” już w sierpniu 1914 roku zdecydował się wystawić własne, zastępcze środki pieniężne. Przykład do takich nie w pełni legalnych, ale z konieczności tolerowanych praktyk dały władze samorządowe i potentaci przemysłowi.

Pierwsza, krótkoterminowa emisja Związku Spożywców objęła tylko nominal 1 marki. Walory te wykonano prowizorycznie na zwykłej maszynie do pisania, opatrując zapewne te kartki pieczęcią firmy i podpisami osób odpowiedzialnych za emisję. Dziś są to uni-katy praktycznie nie spotykane na rynku kolekcjonerskim, więc niewiele więcej można na ten temat napisać.



Ten skromny początek okazał się być niewystarczającym dla potrzeb firmy oraz jej klientów i prawdopodobnie już we wrześniu doszło do kolejnej emisji. Tym razem przygotowano się do tego starannie. Notgeldy te wykonano techniką drukarską na białym kartonie (możliwe że wykonano je w działającej wtedy w Wirku drukarni). Jednostronny nadruk obejmował nominal waloru (1 lub 2 marki) oraz szerszy tekst informacyjny, skierowany do użytkownika który przyjmował je przecież na zasadzie dobro-wolności. Pewnym zabezpieczeniem tej emisji była zastosowana nu-meracja walorów, niebieska pieczęć firmowa i dwa odrębne podpisy.

Określono też ich datę ważności do 31.XII.1914 roku.

Po tym okresie miał nastąpić wykup notgeldów za państwowe środki płat-nicze, jednak ciągle odczuwany niedostatek oficjalnego pieniądza o tych nominalach skłonił firmę do przeprowadzenia kolejnej, nieomal identycz-nej emisji. Tym razem jednak na kartonikach o nominalach 1 i 2 marek widniała data ważności 15.III.1915. Stare walory zostały więc w pewnej mierze wymienione na nowe, a te z kolei w marcu 1915 roku były sukce-sywnie wycofywane ze sklepów, a reszta zapewne wykupiona na określonych wcześniej warunkach.

Po nieomal rocznej przerwie, gdy państwo jakoś unormowało obieg pie-niądza, sytuacja znowu się powtórzyła, bo przecież Niemcy nie były przygotowane do prowadzenia wieloletniej wyniszczającej wojny. W 1916 roku ponownie masowo pojawia się na lokalnym rynku pieniądz zastępczy.

Wtedy właśnie doszło do ostatniej edycji notgeldów „Antonienhütte”.

Tym razem był to nominal 50 fenigów, w bardzo ciekawej, podobnej do znaczka formie. Nie sprecyzowano na nim daty emisji, a jedynie datę

ważności 30.VI.1916 r. Zbieżność z formą znaczka nie dotyczy tylko ząbkowania. Odwrotna strona miała klej, dzięki czemu można było je le-pić na odpowiednich kartonikach, poprawiając tym samym ich trwałość, bo drukowano je w kolorze zielonym na białym papierze, który łatwo się niszczył.

Na tym działalność „emisyjna” tej firmy w zakresie banknotów zastępczych definitywnie się zakończyła.

Bronisław Wątroba

Die Tragödie der "Wilhelm Gustloff"

Günter Grass gebürtiger Danziger, Nobelpreisträger, in seinem Buche "In Krebsgang" beschreibt die Flucht und Vertreibung sowie auch die Tragö-die der Deutschen aus Ost- Westpreußen und der Stadt Danzig.

Dieses Thema war in Polen, der Tschechoslowakei aber auch in Deutsch-land als unantastbar anerkannt. Vom Schicksal vieler Flüchtlinge und Ver-triebenen sprachen nur Rechts und Konservative Parteien, der Bund der Vertriebenen und die Landsmannschaften in Deutschland.

In den Ostblockländern wurde dieses Schicksal als historische Vergeltung anerkannt und. Weitere geschichtliche Ereignisse waren als Tabu aner-kannt.

Am 6. Februar dieses Jahres wurde die 7. Auflage des oben genannten Bu-ches herausgegeben. Bis heute sind schon 300-tausend Exemplare ver-kaufte. Mit solch einem Erfolg hat der Autor nicht gerechnet. Das heißt, dass viele Menschen in Deutschland und nicht nur, die wahre Geschichte des II. Weltkrieges kennen lernen wollen.

Viele Menschen fragen sich auch, warum das Thema gerade jetzt sich so als interessant zeigt, 57 Jahre nach der Beendigung des II. Weltkrieges.

Die Antwort von Günter Grass ist eindeutig. Weiteres Schweigen in der historischen Wahrheit wäre: ein großer Ansporn für neofaschistische Gruppen in Deutschland und Nationalisten in den Ostländer; ein großes Versäumnis für die Nachkriegs- und künftigen Generationen in der Be-kanntmachung der Geschichte des XX. Jahrhundert und der Vergangen-heit.

Im ersten Teil des Buches beschreibt der Autor die Tragödie und den Tod acht deutscher Flüchtlinge die aus Danzig und Ostpreußen stammten. Weiter beschreibt Grass die Versenkung des deutschen Passagierschiffes "Wilhelm Gustloff". Das Schiff wurde 1957 von der Firma "BLOCHM und VOSS" in der Werft in Hamburg gebaut. Es war 208 m lang und 56 m hoch. Vom Kiel bis zum Mast verteilten sich zehn Decks, zwei Promena-dendecks und das Sonnendeck. Als KDF-Schiff besaß die *Gustloff* 231 zwei Personen und 239 vier Personen Kabinen.

Im Mai 1957 war die *Gustloff* vom Stapel gelaufen und die Schifftaufe

fand mit Anteil des Führers Adolf Hitler statt. Das Schiff wurde benannt nach dem im Jahre 1936 ermordeten Schweizer Naziführer "Wilhelm Gustloff".

Mit dem Überfall auf Polen und dem Beginn des II. Weltkrieges wurde aus dem Erholungsschiff, ein Lazarettsschiff, dann ein Schulungsschiff für die Unterseebootmannschaften. Auf Grund der plötzlichen Offensive der Roten Armee wurde die Evakuierung der deutschen Bevölkerung aus dem bedrohten Ostpreußen, der Grenzmark Posen-Westpreußen und der Stadt Danzig angeordnet. Hunderttausende Deutsche in der Großzahl Greise Frauen und Kinder verlassen ihre Heimat und fliehen mit Pferdewagen, Schlitten, Kinder und Handwagen nach den Westen.

Am 21. Januar 1945 erhielt der damalige Kapitän Friedrich Petersen den Befehl, die *Gustloff* fertig zu einer Evakuierung der Flüchtlinge vorberei-ten.

Auf die *Gustloff* wurden 3700 Mann der 2. U-Boot Lehrdivision, paar-hundert verwundete Soldaten und Marinehelferinnen und paar tausend Flüchtlinge in dem viele Greise, Frauen und Kinder eingeschifft. Die ge-nauen Zahlen der Anwesenden auf dem Schiff ist unbekannt. Manche Quellen geben an, dass es über 10-tausend Passagiere gewesen waren. Auf Grund der Überladung wurde die Abfahrt um einen Tag verzögert, da andere Schiffe die Überzahl der Menschen übernehmen mussten.

Nächsten Tag begleitet vom schweren Schnee und Hagelschauer nahm die *Gustloff* gegen 13-Uhr die Fahrt auf, obwohl das Ziel noch unbekannt war.

Am 30. Januar wurde die überladene *Gustloff* vom sowjetischen Unter-seeboot "S 13", dessen Kapitän Alexander Iwanowitsch Marinesco war, entdeckt. Gegen 21 Uhr befand sich das Schiff 20 Meilen von der Küste nicht weit von der Stolpe-Bank da wurden von der U „S 13" die ersten Torpedos abgefeuert, von denen 5 die *Gustloff* trafen.

Viele Passagiere wurden durch diese Treffer überrascht. Auf dem Schiff brach eine Panik aus, die kaum, zu beschreiben ist. Jeder rettete sich wie er konnte.

Das Schiff sank immer tiefer. Auf dem Meere war es - 18 °C kalt. Die Menschen sind erfroren und starben. Hunderte Leichen schwammen noch Tagelang in der Ostsee.

Obwohl eine Rettungsaktion durch kleine Torpedoboote und Geleitschiffe durchgeführt wurde gelang es nur 1259 Personen zu retten, unter ihnen den Kapitän Friedrich Petersen und seine Offiziere Heinz Keller und Harry Weller.

Günter Grass, bezeichnet den Untergang der "Wilhelm Gustloff" als die größte Meerestragödie In der Geschichte Deutschlands in der Ca 9000 Menschen unter dem 5000 Kinder und Greise zu Opfer wurden» Das Buch *Im Krebsgang* wurde von der deutschen Kritik positiv bewertet.

Es wäre auch angemessen dieses Buch in polnischer Sprache herauszugeben um die polnischen Mitbürger zu überzeugen, dass man die Deutschen nicht nur als Aggressoren oder Kriegsverbrecher des II. Weltkrieges bezeichnen soll, obwohl es zur historischen Wahrheit gehört, aber dass viele Millionen Deutsche Opfer diese Krieges waren und noch heute sind.

Verbrechen kann und darf man nicht mit Verbrechen rechtfertigen.

Sebald A. Kriebus

IKONY ŚLÓŃSKE



Herb Wrocławia



Kościół pw. św. Wawrzynca w Wroclawiu, wybudowany w latach 1908-1909

Kristian Galuszka



Der Untergang der Wilhelm Gustloff ist die bisher größte Katastrophe in der Geschichte der Seeschifffahrt. Ihr Ende hat das Vierfache an Menschenleben gefordert, als beim Untergang der Titanic. Noch nie waren so viele Menschen bei einer einzigen Schiffskatastrophe ums Leben gekommen. Dennoch ist dieses Ereignis nie richtig in das Bewusstsein der Weltöffentlichkeit gedrungen ...

Das Schiff war als erster Neubau einer KdF-Flotte gebaut worden. Es wurde unmittelbar nach Beginn des Zweiten Weltkrieges von der Kriegsmarine übernommen. Bis dahin machte es 44 Kreuzfahrten mit 65.000 Urlaubern.

Die „Wilhelm Gustloff“ war nicht nur das größte und modernste, sondern auch das komfortabelste Kreuzfahrtschiff seiner Zeit. Im Sommer führten die preiswerten „KdF“-Reisen bis nach Norwegen, im Winter ging es von Genua aus bis nach Madeira und Tripolis. Bei Kriegsbeginn baute man die „Gustloff“ zu einem schwimmenden Lazarett um, ab Ende 1940 war das Schiff, nun grau gestrichen in Gotenhafen liegend, Ausbildungsplatz für zukünftige U-Boot-Fahrer.

Erst im Januar 1945 kam der Schiff zum Einsatz in einer in der bisherigen Geschichte einmaligen Aktion: dem Transport von Millionen von Flüchtlingen und Soldaten, die vor den heranrückenden sowjetischen Einheiten flüchteten. So gut wie alle der ehemaligen KdF-Liner und dazu viele andere Frachter, Hilfskreuzer und sogar Schlachtschiffe kamen bei dieser Operation zum Einsatz. Bis zum Kriegsende wurden über zwei Millionen Menschen über die Ostsee evakuiert.

Wie in vielen anderen Häfen der Danziger Bucht befanden sich auch in Gotenhafen Tausende von Flüchtlingen. Schätzungen nach versammelten sich dort ungefähr 60.000 Menschen, die auf ein Schiff warteten. Als die Wilhelm Gustloff in Gotenhafen anlegte, kam es zu einem wahren Sturm auf die freien Plätze an Bord, alle wollten weg, nur weg. Zu grausam waren die Berichte über die Untaten der sich in Ostpreußen austobenden Roten Armee. Von einer geordneten Einschiffung konnte also keine Rede sein. Am Nachmittag des 30. Januar 1945 verließ die Wilhelm Gustloff den relativ sicheren Hafen in Richtung Westen. Das Wetter hatte sich verschlechtert, es schneite, die Temperatur fiel unter 10 Grad minus und es stürmte. Praktisch waffenlos und nur in Begleitung des Torpedoboots Löwe kämpfte sich das Schiff durch die stürmische Ostsee, so gut wie schutzlos jedem Angriff ausgeliefert. Der Passagierliste nach befanden sich an Bord 6.050 Menschen inklusive der Besatzung. Neuesten Erkenntnissen zufolge jedoch waren es weit über 10.000 Personen, unter ihnen auch tausende Frauen und Kinder. Alle flohen vor einem grausamen Schicksal, das sie erwartet hätte, wären sie den heranrückenden Sowjets in die Hände gefallen. Um 21.08 Uhr am Abend des 30. Januar 1945 wurde sie vor Stolpmünde auf Höhe der Stolper Bank von drei Torpedos getroffen, die das sowjetische U-Boot S-13 abgeschossen hatte (dasselbe U-Boot sollte wenige Tage später am 9. Februar 1945 das Hospitalschiff General von Steuben versenken, was weitere 3.500 Menschenleben forderte). Das überladene Schiff neigte sich fast sofort nach Steuerbord. Es brach eine unvorstellbare Panik aus, als die vielen tausend Menschen an Bord realisierten, was geschehen war. Alle versuchten gleichzeitig, die oberen Decks zu erreichen, um dem massiven Wassereintritt zu entfliehen. Auf der Steuerbordseite konnten die Rettungsboote nicht mehr zu Wasser gelassen werden. Auf der Backbordseite waren mehrere Boote in ihren Halterungen festgefroren, einige wurden zu früh ausgeklinkt und stürzten in die See.

Der Kampf um die verbliebenen Rettungsboote war in vollem Gang, viele sprangen in Panik einfach in die eiskalte Ostsee. Berichten nach begingen ganze Familien Selbstmord, um einem grausamen Tod in den eisigen Fluten zu entgehen. Nach weniger als 50 Minuten war die Wilhelm Gustloff versunken und hatte mit sich über 9.000 Menschen in den Tod gerissen. Tatsächlich konnten von heraneilenden Schiffen insgesamt noch 1.239 Personen gerettet werden.

Das Wrack liegt 45 m unter der Wasseroberfläche.

SAGRADA FAMILIA, czyli krótka rzecz o ojczyźnie

GILDIA

Przestrzeń, w której się poruszamy, tworzona jest przede wszystkim przez ludzi (nie wiem, czy górale w tej materii zgodzili by się ze mną). Na pierwszym planie zawsze pozostaje rodzina. Ta najbliższa i ta dalsza. Później koledzy i koleżanki z podwórka, szkoły i pracy. Oraz te postacie, z którymi spotkaliśmy się nie zawsze bezpośrednio, a tylko przez wytwory ich pracy. Są to znaki odcisnięte w rzeczywistości, na tyle silne, że kształtują naszą wrażliwość, nasz sposób widzenia świata. W przewijającym się nieustannie filmie rzeczywistości czasem wyłapujemy tylko poszczególne kadry, a czasem, choć rzadko, całe sekwencje. Zatrzymujemy się i próbujemy sobie na przykład odpowiedzieć kim był Ludwig Schneider twórca kościoła pw. św. Wawrzyńca w Wirku, czy Franciszek Klomp architekt kościoła pw. św. Pawła w Nowym Bytomiu. Kto zapłacił za ich pracę i pracę tych wszystkich, bez których wizja architektów zostałaby jedynie ciekawostkami zapisanymi na papierze? Co cegła to człowiek. Współczesna gildia budowniczych katedr jest rozległa. Są tu szewcy, komputerowcy, stolarze, przemysłowcy a nawet poeci... W miejscu, w którym stawiam moją, jest tyłu budowniczych znanych bardziej lub mniej oraz zupełnie dla mnie anonimowych, że gdyby zagłębić się w ten labirynt czasu i przestrzeni, nie starczyłoby miejsca na nic innego. Dlatego przypomnę tylko kilka osób, a było ich przecież całe mnóstwo, które budując własną katedrę zmusili mnie do zastosowania innych pomysłów, innych rozwiązań, przy budowie mojej własnej świątyni.

KRÓL

w moim św. mieście er na ulicy karola goduli stoi pomnik czy bardziej fontanna biegnącego po wodzie karola goduli może jest on bardzo wirtualny i może tylko w mojej głowie jak w jego głowie chciałbym być bogaty z lasu powstało miasto celuloza cynk i węgiel cegła po cegle i choć trochę topornie mu to wszystko wyszło jednak stoi gród mój rodzinny może z jego głową było nie tak aby rzucać się głową w dół ciągnąc za sobą tłum chciałbym być bogaty pięćdziesiąt kopaliń poproszę dziesięć hut las z zamkiem i nowe buty dla córki Joasi jak szaleć to szaleć a co i cicho mi tu wszystko zaczyna się w głowie i kończy zależy jak mocna głowa Król cynku. Król węgla. Geniusz. Pionier cywilizacji. Dżingis Chan pieniądza. Diabeł z Rudy. Itp. To tylko niektóre określenia opisujące „króla” z Rudy. Karol Godula (pisany po niemiecku Godulla), którego oczywiście prywatnie nigdy nie spotkałem, a któremu ze względu na dokonania musiałem poświęcić trochę więcej miejsca, urodził się 8 listopada 1781 r w Makoszowach (obecna południowa dzielnica Zabrze). Został ochrzczony w drewnianym kościółku w Przyszowicach, który to kościółek został później przeniesiony do Borowej Wsi, gdzie stoi do dnia dzisiejszego.

Rodzice Karola Goduli - Józef Godula i Franciszka z domu Hanisz - posiadali w Kuźni Raciborskiej gospodarstwo rolne, które z przyczyn zamieszkania wydzierżawili. Józef Godula pełnił funkcje oficjalisty leśnego, dochodząc do godności nadleśniczego w lasach przyszwowickich i makoszowskich. Około roku 1784 wziął w dzierżawę dwa majątki rycerskie w Makoszowach i Ligocie Zaborskiej, podwyższając w ten sposób swój status społeczny. Według ówczesnych kryteriów Godulowie byli zaliczani do stanu średniego mieszczaństwa, zatem utrzymywali kontakty z osobami swojej klasy; nauczycielami, proboszczami, urzędnikami, a także z rodzinami członków szlachty ziemiańskiej. Oprócz Karola Józef i Franciszka mieli jeszcze jednego młodszego syna Ernesta i trzy starsze córki - Marinę, Joannę i Franciszkę. Pod względem parafialnym ówczesne Makoszowy należały do Przyszowic, gdzie również mieściła się szkoła, do której do 1792 r uczęszczał Karol Godula. W roku następnym młody Karol Godula przeniósł się do szkoły realnej przy klasztorze cystersów w Rudach Raciborskich. Szkołę średnią ukończył w 1798 r. Swoje wykształcenie uzupełniał również w szkole średniej w Oławie, gdzie prawdopodobnie ukończył klasę piątą. Od roku 1801 Karol Godula podjął pracę zawodową u hrabiego Karola Franciszka von Ballestrema, dziedzica majoratu (niepodzielnego majątku), w skład którego wchodziły majątki Pławniowice, Ruda i Biskupice. Początkowo Godula pełnił funkcję pisarza sądu patrymonialnego w Pławniowicach. Następnie został kasjerem majątku w Rudzie Śląskiej. Dzięki zaletom swego charakteru i ciężkiej pracy w roku 1809 został rządcą całego majoratu, zastępując na tym stanowisku zarządcę Karwata. W roku 1815 hrabia Karol Franciszek Bal-

lestrem von Plawniowitz major Królewskiej Armii Pruskiej wystawił akt darowizny, w którym dał swemu zarządcy 28 z łącznej sumy 128 udziałów huty cynku „Karol” w Rudzie Śląskiej. Pomysłodawcą i główną siłą sprawczą projektu był właśnie Karol Godula. Cynkownia powstała według projektu królewskiego budowniczego J.F. Weddinga. Po rozbudowie zakładu w 1821 r Godula otrzymał od hrabiego kolejne 28 udziałów. Po kolejnej przebudowie w roku 1825 cynkownia stała się największym i najnowocześniejszym zakładem tego typu w Europie. Ówczesnie cynkownię okrzyknięto ósmym cudem świata, a jego twórcę uważano za człowieka niesamowitego. Udziały w cynkowni „Karol” stały się zaczątkiem fortuny Karola Goduli. Poszukując niezależnego źródła galmanu dla cynkowni „Karol” Godula do spółki, z wcześniej wspomnianym właścicielem folwarku Miechowice Franciszkiem Aresinem, uruchomił kopalnię galmanu - na cześć żony Aresina nazwana „Marią”. Następnie wchodził w spółki z właścicielami innych kopalń galmanu i kopalń węgla kamiennego, a nawet budował własne kopalnie węgla - ulokowane głównie w Rudzie Śląskiej. W roku 1826 zakupił zbankrutowane majątki Szombierki (dzisiejsza dzielnica Bytomia) i Orzegów (dzisiejszy teren dzielnic Rudy Śląskiej - Orzegowa, Goduli i Chebzia) i przejął w dzierżawę Rudę i Biskupice (dzisiejsza dzielnica Zabrze). W tym czasie rozwiązał swój stosunek służbowy z Ballestremem, pozostając jednak nadal doradcą gospodarczym swojego dotychczasowego pracodawcy. Kupno majątków podniosło prestiż Goduli, ale i również dało prawa dominalne do połowy własności nadej górnich z tytułu własności gruntów. Godula dążąc do stworzenia kompleksu przemysłowego, chciał posiadać wszystkie kopalnie w okolicy wraz z gruntami. Dlatego też w roku 1840 nabył dobra Bobrek (dzisiejsza dzielnica Bytomia), a w roku 1848 kupił wieś Bujaków (obecnie część miasta Mikołowa), przejmując lub wykupując huty i kopalnie leżące na ich terenach. Karol Godula zmarł na chorobę nerek 6 lipca 1848 roku we Wrocławiu, gdzie został pochowany na cmentarzu św. Wojciecha. Po wybudowaniu kościoła w Szombierkach przez spadkobierczyń Goduli, prochy jego zostały przewiezione dnia 2 września 1909 r i złożone w podziemiach świątyni. Podupadający folwark w Rudzie i Biskupicach Karol Godula doprowadził do rozkwitu stosując mechanizację oraz nowe rozwiązania agrarne używane w Anglii. Był pierwszym na Górnym Śląsku przemysłowcem, który urzeczywistnił ideę współdziałania różnych gałęzi przemysłu - powiązał z sobą rolnictwo, leśnictwo, eksploatację glinki, transport, górnictwo i hutnictwo oraz handel. Popierał angielską formę płacenia tzw. trucksystem, który polegał na tym, że pracownicy poszczególnych dziedzin nie dostawali pieniędzy, ale w sklepach należących do Goduli zaopatrywali się w artykuły przemysłowe bądź żywnościowe (rozwiązanie takie być może budzi dzisiaj zdziwienie, bądź niesmak, jednak system taki był ówczesnie dość rozpowszechniony, a tłumaczono to tym, iż robotnicy zamiast inwestować w rodzinę, trwonili je w knajpach, jednak głównym motorem tego typu rozwiązań, był oczywiście zysk). Z drugiej strony Godula należał do pierwszych indywidualnych przedsiębiorców, którzy zbudowali domy mieszkalne dla robotników swoich zakładów. Ponadto wprowadził bezpłatną opiekę lekarską dla swoich pracowników. Był jedynym przemysłowcem na Górnym Śląsku, który w okresie Wiosny Ludów, czyli ekonomicznego krachu, pomimo dużych strat finansowych, nie zamykał swoich zakładów przemysłowych, a zatem nie zwalniał robotników. Za ewenement należy uznać fakt, iż w testamencie zapisał legat do podziału wszystkim swoim pracownikom w wysokości 50 000 talarów. Karol Godula całe swoje życie poświęcił pracy. Do minimum ograniczał administrację, pracując niejednokrotnie w dzień i w nocy. Sam przeprowadzał eksperymenty chemiczne, pracując nad nowymi rozwiązaniami technicznymi. Dzięki własnym studiom i opracowaniom ekspertów zagospodarował nieckę węglową w okolicach Rudy, Bytomia i Zabrze. Zakup Bujakowa traktował jako lokatę i zabezpieczenie na przyszłość uważając słusznie, że są tam ukryte bardzo bogate pokłady węgla. Nie obce były mu nowinki techniczne, które wprowadzał nie tylko w hutnictwie, górnictwie, ale i w rolnictwie. Popierał budowę kolei żelaznej, której trasa przecinała Rudę Śląską (wizji tej zabrakło radcom Bytomia i z pewnością był to pierwszy krok upadku tegoż miasta z tak bogatymi tradycjami historycznymi na rzecz nikomu nieznanego wtedy wsi Katowice). Godula rozumiał nowe wezwania komunikacyjne, między innymi był też jedną z nielicznych osób popierających budowę poczty w Rudzie Śląskiej, na potrzeby której, po jej utworzeniu, płaćć pewne subwencje. Był mistrzem w zarządzaniu i

operowaniu kapitałem. Wolne kapitały lokowałczęsto w listach zastawnych oraz w hipotekach, co pomagało mu bardzo przy wykupie upadających majątków ziemskich i zakładów przemysłowych. Jako osoba nastawiona na zysk nie wahał się również udzielać pożyczek na procent, stosując sześć punktów procentowych w skali roku od pożyczanego kapitału. Wszelkiego rodzaju operacje finansowe, które stosował z dość dużym powodzeniem, nie były jednak celem, ale narzędziem, dzięki któremu powiększał swoje imperium przemysłowe. Uważał się za producenta a nie kupca. Był zwolennikiem utrzymywania przejętych zakładów. Należało wszystko robić aby je rozbudować i unowocześnić - w żadnym wypadku dzielić i sprzedawać drożej po kawałku. Jak widać jego filozofia działania różni się od dzisiejszych rekinów finansowych, którym nie obce są praktyki podziału i sprzedaży fragmentów zakładów z zyskiem. Zdaniem Goduli wszelkiego typu działania powinny posiadać charakter rynkowy, a państwo powinno skoncentrować się na innych problemach aniżeli ustalanie cen umownych. Był głównym inicjatorem petycji do władz, której celem było zmniejszenie przez państwo podatków, uważając że zbytni fiskalizm państwa doprowadza do dekonstrukcji. Co ciekawe, petycja ta odniosła skutek. Jako pełnomocnik Ballestrema w zarządzaniu majątkiem rodziny, Karol Godula doprowadził do tego, że Ballestremowie w tym czasie stali się najbogatszą rodziną na Górnym Śląsku. Po śmierci hrabiego Godula został głównym wykonawcą jego testamentu i został opiekunem jego dzieci, co przeczy pomówieniom, jakoby hrabia stracił zaufanie do Goduli, widząc jego prywatne sukcesy finansowe. Ponadto sam zbudował imperium przemysłowe, którego inwentaryzacja zajęła 298 prawnikom pół miesiąca czasu. Wielkość tego majątku szacowana była różnie. Najbardziej prawdopodobną wielkością jest suma 2 mln talarów, czyli 7 260 000 zł w zlocie (aczkolwiek w niektórych opracowaniach można spotkać się i z sumą 8 mln talarów). Prawie cały swój majątek Karol Godula zapisał sześciolatniej wówczas pólserocie Joannie Gryzik (w literaturze przedmiotu nazwisko tomożna spotkać pod różnymi formami: Gryczik, Gryszczik, Grycik lub nawet Grzyzik). Joasia znalazła się w domu Karola Goduli z niewiadomych przyczyn. Najbardziej prawdopodobna wersja jest taka, że jej matka Antonina, po śmierci swego męża Jana, komornika pracującego w zakładach cynkowych Goduli, poprosiła gospodynię Goduli panią Emilię Lukas o opiekę nad córką. Rozpowszechniony jest również pogląd, że Joasia była pozamałżeńskim dzieckiem Antoniny z Karolem Godulą. Jednak przeciw tej koncepcji podaje się argument, że widoczne kalectwo króla cynku (utykanie na jedną nogę, duża blizna zniekształcająca lewy policzek) spowodowane napaścią na jego osobę, wiązało się również z jego nieplodnością. Jakakolwiek była przyczyna, faktem jest, iż Godula do tego stopnia polubił dziewczynkę, że zatrudnił specjalnie dla niej domowego nauczyciela M. Kulankę. W kwietniu 1848 roku ciężko chory udał się na leczenie do Wrocławia zabierając ze sobą Joasię. Dzień przed swoją śmiercią sporządził testament przed komisją sądową. Jego wykonawcą został przyjaciel, doradca i prawnik - Maksymilian Scheffler. W testamencie widniał zapis, że gdyby Joanna Gryzik zmarła bezpotomnie, to cały majątek miały odziedziczyć dzieci siostr Goduli. Po ogłoszeniu treści tegoż kontrowersyjnego dokumentu, testament stał się prawdziwą sensacją. Pieniądzy nie odziedziczyła rodzina Goduli, ani rodzina Ballestremów. Fortunę dostała nikomu nie znana dziewczynka, którą zaraz okrzyknięto „śląskim Kopciuszkiem”. Rodzina Goduli próbowała obalić jego testament, a gdy to się nie udało, jawnie słała groźby pod adresem dziewczyny, organizując nawet zamachy na jej życie. Obawiając się o jej bezpieczeństwo opiekunowie umieścili ją w klasztorze Urszulanek we Wrocławiu. Po opuszczeniu klasztoru Joanna zamieszkała w domu Maksymiliana Schefflera, który rozpoczął starania o uzyskanie dla niej tytułu szlacheckiego, co zakończyło się sukcesem. Z rąk króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV otrzymała tytuł szlachecki i nazwisko Gryczik von Schomberg-Godulla. W roku 1858 w wieku 16 lat hrabina Joanna poślubiła Reischgrafa Hansa Ulryka von Schaffgotscha, który nigdy nie został właścicielem majątku żony. W ciągu swego życia pomnożyła ona odziedziczony majątek razy siedem, angażując się w szereg przedsięwzięć ekonomicznych i społecznych, stając się godną następczynią Karola Goduli. Karol Godula żył 67 lat, z tego pracy poświęcił 47 lat. Potrzebował pół wieku aby zbudować największe imperium przemysłowe - finansowe (majątek własny i rodziny Ballestrem) w ówczesnych Niemczech. Doskonały organizator, innowator, przedsiębiorca, a przede wszystkim wizjoner. Nie bojący się nowych rozwiązań, nowych wezwań. Człowiek, który położył podwaliny pod cały górnośląski przemysł. Pionier przeobrażeń industrialnych w Europie. Był wzorem do naśladowania, a jednocześnie poruszał wyobraźnię artystów. Człowiek, który przeszedł do legendy. Okazjonalnie pojawiał

się w wierszach, opowiadaniach, obrazach, czy nawet witrażu. Był bohaterem kilku powieści. Bibliografia o jego osobie przekracza liczbę 200 opracowań. Z wszystkich górnośląskich potentatów przemysłowych przyczynił się najbardziej do budowy wspaniałej potęgi technicznej i cywilizacyjnej Górnego Śląska, z której to potęgi korzystały wiele lat po jego śmierci dwa kraje - Niemcy i Polska. Był jednym z filarów rozwoju gospodarczego Europy, jej dzisiejszego dobrobytu. Bez takich osób historia XIX i XX wieku potoczyłaby się w całkiem innym kierunku.

Niestety o dziwo, jest Karol Godula postacią prawie nie znaną w świadomości nie tylko Niemców i Polaków, ale i również Górnoślązaków. Jest to smutne, ponieważ znane są doskonale nazwiskawojkowych i polityków, które bez takich ludzi jak Godula w ogóle nie weszłyby na karty historii.

Aż dziw, że tak doskonały temat jak losy Karola Goduli i jego spadkobierczyni Johanny von Schomberg - Godulla, późniejszej Johanny Schaffgotsch nie został wykorzystany przez filmowców. I szkoda, ponieważ dobrze zrobiony film mógłby być bez porównania lepszy niż osławiona (i słusznie) „Ziemia obiecana” Andrzeja Wajdy, czy „Magnat” Filipa Bajona.

CHIŃCZYK

* * *

na mym policzku roztajał płatek śniegu - oczekuję kary Z Janem Bonifacym Wyplerem spotkałem się, kiedy swego czasu otarłem się o Państwo Środka. Było to spotkanie zaiste metafizyczne, ponieważ profesor nie żył już od dwudziestu lat. I oczywiście spotkałem go w miejscu najbardziej ku temu szczęśliwym - czytelniku Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Miejsce jakże miłe Wyplerowi, którego pracownia tak bliska była wystrojowi bibliotecznej czytelnicy - książki zastawiały wszystkie ściany pokoju, zostawiając jedyną wolną przestrzeń dla popiersia lub portretu jakiegoś wielkiego twórcy. Z płótna Arnolda Böcklina samotny mnich wygrał na skrzypcach niesłyszalną pieśń. A wszystko ukryte w mroku wytworzonym przez punktowe oświetlenie stylowej lampy zawieszanej nad potężnym stołem, na blacie, którego piętrzyły się nieporadnie poukładane piramidy książek, czasopism i manuskryptów. Tak właśnie widzę profesora, ślęczącego nad jakimś rękopisem w swej pracowni przypominającej klasyczne wyobrażenia o XIX wiecznym uczonym zgłębiającym w pojedynkę tajniki świata. I jak się okazało nie były to tylko wyobrażenia. „Wysokie góry boją się powolnych ludzi” - brzmi sentencja chińska. Jan B. Wypler był właśnie takim człowiekiem, który w pewnym momencie stanął samotny na polanie, a dookoła niego milczące góry. Góry oczywiście nie zadrżały, ale profesor niestropiony ruszył powoli przed siebie. Student uniwersytetów we Wrocławiu i Kilonii, gdzie studiował filozofię, germanistykę, romanistykę i slawistykę, wrócił na Górny Śląsk, podejmując się roli tłumacza literatury z j. niemieckiego na j. polski i odwrotnie. Angażując się w akcję propagandową podczas plebiscytu. A później redagując niemiecko - polskie czasopismo o wiele mówiący tytuł „Die Brücke - Most”. Autor pracy genealogicznej pisanej w j. niemieckim przyczyniającej się w sposób wybitny do poznania historii Górnego Śląska - „Beiträge zur Geschichte des altoberschlesischen Rittergeschlechts der Wypler in der ehemaligen Herrschaft Pless” (Przyczynek do historii starogórnośląskiego rodu rycerskiego Wyplerów w byłym państwie pszczyńskim). Praca ta została przyjęta z uznaniem przez naukowców z Niemiec, Austrii i Czech, i była ona przykładem niezrównanej wytrwałości i mrówczej pracowitości autora. Jako samotnik podjął również pracę w katowickim ogólniaku - coraz bardziej odsuwany od środowiska literackiego Górnego Śląska. I w końcu sinologia - prawdziwe wyzwanie i prawdziwa miłość. Wspomagając się nowatorskim i dość oryginalnym słownikiem języka chińskiego, innego Górnoślązaka Domana Wielucha, zagłębił się w literacki świat Państwa Środka. Tłumacząc niezliczoną ilość tekstów z j. chińskiego na j. polski stał się wybitnym autorytetem w tej dziedzinie. Jan B. Wypler połączył w sobie trzy kultury. W sposób naturalny, będąc pochodną czasu i przestrzeni, w której przyszło mu żyć, stał się niczym most na styku kultury niemieckiej i Polskiej. I z wyboru samotnika - piewą kultury starożytnych i nowożytnych Chin. Dziś jednak zapomniany. Ale - na szczęście - już coraz mniej. Może droga, którą wybrał, a może sposób wędrówki, doprowadził Wyplera do szczytu, na którym został sam. Może to śląski upór i solidność, a może ucieczka wewnętrzna, czy też cechy charakteru spowodowały odejście ze środowiska twórczego Górnego Śląska, w którym nie znalazł żadnego zrozumienia i poparcia. W końcu pozycja samotnika doprowadziła go do wigilii świąt Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1965. Wtedy to wyszedł z baru mlecznego na katowicką ulicę, przewrócił się i zmarł. Dzień był zimny i deszowo-śniegowy. Ludzie, jak to w tym dniu - zagonieni, po-

chłonięci własnymi sprawami, w ogóle nie zwracali uwagi na starucha leżącego na chodniku. Jednak sąsiedzi, w kilka dni później, doskonale wiedzieli, że mieszkanie nawiedzonego samotnika stoi puste, otwarte na żer sępów. Łatwym łupem okazały się przede wszystkim książki – niemieckie, polskie, francuskie, chińskie, hinduskie, japońskie... , które były unikatowe w skali europejskiej, a które jako makulatura w większości wylądowały na śmietniku. Oto prawdziwa samotność. Czasem katedra budowana z mozołem przez całe życie, może zostać zupełnie zniszczona przez współczesnych. Ale jak to bywa z prawdziwymi katedrami one z biegiem czasu metafizycznie coraz bardziej są i są. Jan Bonifacy Wypler został pochowany na cmentarzu w swych rodzinnych Kochłowicach. Z Miasta Er nigdy się przecież nie wychodzi.

MNICH

* * *

w moim św. mieście er
z kolonii szmatlocha
cesarz wyjechał na zachód
zostawiając na bocznicę
opuszczony magazyn
z rzeczami zachowanymi
ocalała z potopu
arka na górze ararat
musiała wyglądać tak samo
poobijana po katastrofie
samotna
ale wbrew oczekiwaniom
nowa
a wokół tajemnica
motyle
i bzykanie ciszy

Akwaforta jest jedną z bardziej pracochłonnych i trudnych technik używanych w grafice artystycznej. Polega ona na wykonaniu za pomocą specjalnej igły rysunku na płycie miedzianej lub cynkowej, którą wcześniej rozgrzewa się i pokrywa mieszaniną wosku, asfaltu i żywicy zwaną verniksem. Rysunek ten jest później trawiony w kwasie. Tak wytrawiona płytkasłuży następnie jako matryca do tłoczenia kompozycji na papier. Ilość odbitek jest ograniczona, ponieważ matryca po kilkudziesięciu odbitkach zużywa się i wydruk traci walory dzieła artystycznego. Mistrzem tej techniki jest prof. Jan Szmatloch wykładowca na katowickiej uczelni plastycznej. I trzeba dodać mistrzem szczególnym. Jego prace są na tyle oryginalne, że nie można ich pomylić z jakimikolwiek innymi. Nie jest to zasługa specjalnej techniki ani posiadanego przez artystę wybitnego talentu. Ani nawet oczywistej pracowitości, która z racji wykonywanej techniki oraz jakości prac, może być tylko porównywana do pracy mnicha benedyktyńskiego. Zatem co?

Zatem szczególnie temat i sposób jego ujęcia.

Jan Szmatloch jest autorem kilku cyklów oraz niezliczonej ilości prac formalnie nie połączonych w powiązaną ze sobą tematycznie serię. Jest również znanym i cenionym autorem exlibrisów. We wszystkich swych pracach dość naturalnie łączy solidność z finezją. Jednakże tematem, który nieustannie przewija się w jego twórczości jest miasto. A szczególnie miasto górnośląskie. Miasto w swym wymiarze metafizycznym. W każdej z tych prac, w których pojawia się light motive miasta, niczym doskonały fechtmistrz swym wprawnym sztychem dociera do magicznego serca miasta. I co ciekawe, efekt ten uzyskuje budując kompozycję z rekwizytów wybitnie prozaicznych. Temat rodzinnego miasta, które nazywa się Górny Śląsk, a w szczególności podejście do tego zdawało by się dość prozaicznego i w gruncie rzeczy banalnego tematu jest jego siłą i być może przekleństwem. Chciało by się sparafrazować poetę: „Ta nie czarna się przede: Ona za nim, przed nim i wszędzie, Ona w każdym oddechu, Ona w każdym uśmiechu, Ona we łzie, w modlitwie i hymnie...” A może jest to nie biała i nie mamy tu do czynienia z przekleństwem, ale z miłością. I być może ten trop jest właściwszy.

Jan Szmatloch urodził się w 1950 roku w Rudzie Śląskiej. I to jego miejsce urodzenia, a w szczególności dom rodzinny, niczym wewnętrzny imperatyw, spłatał mu serce. O które potyka się co krok. Ponieważ w kontaktach osobistych, ale i oficjalnych można wyczuć jego wewnętrzny żar, przy którym największy zmarzluch ogrzeje sobie ręce. Ale gdyby była tylko dobroć – nie byłoby artysty. Żelazna konsekwencja opłatająca jego serce ciągle popycha go donieustannej pracy na tym wyorany i posiatkowanym przez XX wiek ugorze zwanym czasami w porywie romantycznego uniesienia niwą artystyczną. Bez niej już dawno ległby martwy (w

sensie artystycznym oczywiście). Bo gdzie jest miejsce artysty przełomu XX i XXI wieku, mruczącego po cichutku, acz nieustępliwie i z nieprzemijającym wdziękiem, pieśń pochwalną o swej ojczyźnie? Nie ma go na różnego rodzaju błyskotliwych topach, nie krzyczą o nim media. Nie ma przy sobie rozhisteryzowanych fanów.

Pytanie zatem brzmi gdzie jest ze swoją sztuką? Na pewno w swojej pracowni. Na pewno na uczelni. Na pewno na tych – nie ukrywajmy – elitarnych wystawach w kraju i za granicą. Ale gdyby tylko tyle, to szkoda jego nieustającego stąpania.

Zatem gdzie jeszcze?

W moim sercu i sercach tych wszystkich, którzy z nieukrywaną satysfakcją podróżują od czasu do czasu do krainy, którą na własny użytek nazywam Kolonią Szmatlocha.

MALARZ

* * *

mój znajomy ze świętego miasta er jest po przejściach i przejazdach i po przelotach też nie ma złudzeń ale mażonę i owoce kupione dla wnuczka na dzień bożego narodzenia kupuje prezenty jeszcze raz po jednej książce dla tych czytających i tych już oslepiłych (bo co im kupić) mój znajomy stawia bramy świętego miasta er nie żeby nie było ciekawskich rzeczy do roboty ale tak po prawdzie nie więcej nie potrafi albo nie chce w dobie lotów balonikami firmy kodak nikt nie potrzebuje jego budowli oprócz kilku pomyśleń co to do miasta wchodzi bramą północną mój znajomy od świętych bram miasta er jest już zły na siebie w końcu można by wznieść jakąś piramidę ale cóż każdy ma swój wózek i swój dyszel Piotra Pilawę spotkałem pewnego pięknego popołudnia w jednej z bram, a raczej w jednym z einfahrtów prowadzących na ślepe podwórko, na które nawet gołębie nie chciały już spojrzeć (żeby się inaczej nie wyrazić). Początkowo myślałem, że zablądziłem. Ale trzeba było Piotrowej perswazji, abym zrozumiał, że byłem w błędzie. Od tej pory spojrzałem na otaczającą mnie rzeczywistość z całkiem innej perspektywy.

Piotr urodził się w roku 1953 w królewskim mieście Krakowie. Jednak całe jego dorosłe życie było związane z Rudą Śląską. I tak już zostało - Piotr będący cały czas duchem w Krakowie, ale ciałem w Rudzie Śląskiej. Ta iscie wybuchowa mieszanina dała niespodziewany efekt. Mieszanek małopolskiej niefrasobliwości ze śląską solidnością. Jak to mówią – tak rodzi się artysta. Reklama, plakat, grafika komputerowa, a nawet scenografia. Ale przede wszystkim olej. Malarstwo Piotra Pilawy. Malarstwo Piotra Pilawy jest jak podróż do świata baśni, który skrywa się za oknem, ale i również ukryty jest w naszych tęsknotach do świata dzieciństwa. Nie do realnego świata dzieciństwa, ale do tego, które tkwi w naszych głowach. Pomimo bardzo oszczędnej palety kolorów, a i zawężonej tematyki, jest to świat nad wyraz wciągający i frapujący. Artysta uzyskuje to dzięki stosowanej przez siebie technice ascetycznych nakładanych na siebie warstw, niejednokrotnie łączących różne techniki plastyczne. Ale nie rzemiosło jest najważniejsze. I nie niewątpliwy talent. Ani szczególna estetyka. Największa siła jego prac bierze się z uczciwości. Z uczciwości artystycznej. Każde jego płótno jest długą, mozolną wędrówką, ciężką pracą, wykonywaną po to, aby przez przypadek nie oszukać widza. Ani efektowność, ani chwilowy sukces na płótnie, a tym bardziej zwykła słabość – żeby może czasem przypodobać się widzowi, nie mogą zaważyć na końcowym efekcie. Jego obrazy to swoiste palimpsesty produkowane przez autora. Bo tylko on wie, ile razy kolejna wersja obrazu była wycierana rozpuszczalnikiem. Jak każda ze sztuk malarstwo jest błagą. Kreacją świata, którego nie ma. Powiedzmy wprost – udawaniem. Ależ ile trzeba maestrii, aby widz chciał poudawać z artystą. Oglądając prace Piotra Pilawy chce się udawać wraz z nim. Czasem tak bardzo, że się o tym zapomina i traktuje się wykreowany świat artysty jak własny intymny świat. Miałem to szczęście, iż wszedłem w przepiękny świat komnat mistrza. A w każdej z nich jeden obraz, jak ciepłe pozdrowienie, jak gest. I dopiero teraz widzę, że prawdziwy świat nigdy nie jest brzydki. Zawsze jest cudowny – czy jest to wnęka w murze, odpadający tynk, czy kubek na śmieci, nie wspominając już o magicznych oknach, przez które nie zaglądam z chytrej ciekawości, ale oglądam jeze zwykłej przyjemności. Wchodzę w każdą bramę, na ogół mroczną, ale wiem, że bezpieczną. Piotr przecież nigdy by mnie nie skrzywdził..., choć swego czasu odrabiałem mu ręce. A najpiękniejsze jest to, że kiedy przychodzi do mnie, pomiędzy jedną robotą a drugą, bez gadania bierze wiadro, pędzel i maluje fresk na jednej ze skończonych przeze mnie ścian katedry. Nie da się ukryć wpadłem w sidła zastawione przez malarza. Czego i tobie życzę mój szanowny, ewentualny czytelniku.

ER

w moim św. mieście er einfahrt prowadzi do nieba do jednego z nich wchodzi się od strony świętego pawła którego pilnują lwy zielona farba kutych rączek krat ukrywa plac z fioletowym bżem szczególnie w maju po deszczu chodzimy tam z przyjaciółmi w tej galerii pod niebem siadamy na ławkach i patrzymy na ekran studni gdzie chmury przetaczają leniwie

czas

Każdy ma w głowie jakąś opowieść, czy inaczej – każdy nosi w sobie swoją pieśń. Jedną z moich pieśni jest miasto Er, leżące w miejscu, w którym nieustająco mieszkam oraz gdzieś pomiędzy Ur, a magią ukrywaną w szorstkich z jednej strony i pełnych miłości z drugiej, opowieściach babci.

Wszystko ma dwie strony oprócz wstęgi Möbiusa i oczywiście Miasta Er. Stąd nie ma wyjścia. Tu się wchodzi – najczęściej bramą północną – ale już nie wychodzi. I nie to, że nie próbowałem wyjść. Ale nigdy mi się to jeszcze nie udało. Raz łapałem autostop, jednak samochód w pewnym określonym momencie nawalał i nie można nim było jechać dalej. Raz próbowałem tramwajem, ale przystanek końcowy stawał się zawsze podstępnie przystankiem początkowym. Raz wybrałem się na piechotę, ale w końcu zląłem z hałdy po drugiej stronie Miasta Er.

Er jest moją małą ojczyzną. Jakby specjalnie wybudowaną repliką mitycznego Śląska. Są tutaj lasy i góry, jeziora i rzeki, gospodarstwa i pola, huta i kopalnia. Mieszkają tu Polacy tutejsi i tamtejsi, Niemcy tu i ci, którzy wyjechali tam. I Romowie. Może na pierwszy rzut oka nie ma tu Czechów i Żydów, ale jak znam moje miasto to tylko pozór.

Mamy tu świątynie kilku wyznań, w których nasze kobiety poślubiły chłopców, którzy przyszli zza rzeki, czyli z bardzo daleka. Są nawet ruiny zamku średniowiecznego. Jest tu wszystko. Strach i beznadzieja ukryta w zapuszczonych einfahrtach, agresja i bezsilność wylażająca w spotkaniach po pracy, która cichutko i podstępnie ucieka z kopalni i ostatniej już huty. Smutek. Za umykającym czasem, który tyle pozmieniał i jak zwykle powiada – na gorsze. Wszystko. Zatopione w pochyleniu nad pracą i za-

wieszane w miłości nad buzią wysmarowaną łakociami wystającą zza stołu. Zatopione w zaciętych i pełnych radości pokrzykiwaniach chłopców goniących zawzięcie za piłką i w pełnych pokoju oczach kobiet wychylających się z czerwonych okien, kiedy z zainteresowaniem godnym Sfinksa śledzą upływający czas. Zatopione w niedzielnych spacerach rodzinnych kończących się w piwiarni przy kuflu piwa i szklance oranżady. Zatopione w drobnych gestach codzienności, które niejednokrotnie są powodem do dumy i satysfakcji, ale bywa też, że i bólu.

Mamy tu krajobraz księżycowy, skażony ciężką pracą koksowni, gdzie w ciepłe dni czuć jak ziemia czwórkami idzie do nieba. I hale fabryczne, które niczym zapomniane pałace jakieś minionej cywilizacji rzeźbią wyobraźnię ocierając się o mit zaginionych Atlantów. I zagubione torowiska, które nie wiadomo skąd się wylaniają i dokąd prowadzą i perony, przy których może pojawić się magiczna lokomotywa ciągnąca wagoniki na przejażdżkę w czasie do miejsc, o których można jedynie śnić. I sieć bunkrów odlanych z betonu, gdzie tylko legendy są w stanie zrozumieć labirynt podziemnych korytarzy. I cmentarze z omszałymi nagrobkami, gdzie tyle języków w pokucie zaświadcza o przemijaniu, że brakuje jedynie napisów runicznych – a gdyby dobrze poszukać, to kto wie.

Mamy tu ucieczki i wysiedlenia. A nawet filię obozu koncentracyjnego z Auschwitz. Ale przede wszystkim ciężką pracę wykonywaną solidnie i z dużą dozłą samozaparcia. Choć i kilku komedianów też można by znaleźć, często odbrażających naszą niejednokrotnie niepotrzebną powagę.

I precudne kobiety.

Er jest moją małą ojczyzną, którą ciągle w zdumieniu odkrywam, pisząc jej los na zwitkach papierów. A piszę chaotycznie i bez większego efektu. Ale jak to powiada, papier jest ciepły. Poczekaj.

Krystian Gałuszka

ze strony: www.gall.terramail.pl

SZPRYCE Z WIEKU, CO PRZESZOŁ

Joch w dzieciństwie dostał szprycę kultury zachodniej, syn - wschodniej, uzaś naszym wnukom każdemu czerpać z tego hollywoodzkiego śmietnika i kultury "bejsbolowej". I co z tego? Ano - eli w tej sytuacji pokolyni naszych wnuków (w tym nowym stu i tysioncleciu) bydzie pozostawione same sobie - bez wciskania, a choby i na siłę przez starzików opowieści o tym, jako my mieli za czasów kedy nie było elektryki - to tako postawa starzików bydzie niczym wyraźnym zgody na kaliectwo przyszłych pokolyn.

A, jakiz to HASŁA prziszło mi przepuszczać przez uszy od roku 1929 do dzisioka AD. 2002?

W dzieciństwie SANACYJNE - aż do wybuchu wojny w 1939 roku. Hasła z tamtych czasów pochodziły od rzondów autorytarnych marszałka Józefa Piłsudskiego. Zwalczaly komunizmus i głosiły tezy o kryzysie demokracji, konieczności mocnych rzondów i likwidacji partji opozycyjnych. Geltowały hasła: honor, Ojczyzna, silni zwarczi gotowi, nie oddamy ani guzika.

Podczas wojny (1939 do 1945) moji uszy przepuszczały hasła NACJO-NALISTYCZNE, co to podporzondkowywały interesy inszych narodów interesom od norodu własnego. Brzmiały: Ein Volk, ein Reich, ein Führer /jeden noród, jedna Rzesza, jeden wódz/. Było jeszcze mocka pochodnych, kere prawie przypadły na moji młodziyncze lata, jak człowiek we wszystko wierzy, a głoszone "prowdy" chłonie jak szwam.

Po wojnie - od wiosny 1945 roku - szalały hasła KOMUNISTYCZNE, płodzone w Moskwie przez KPZR (Komunistyczno Partia Związku Radzieckiego). Głosiły likwidacyjo ucisku i wyzysku klasowego, a brzmiały tak: Obulić kapitalizmus. Idymy od zocjalizmu do komunizmu. Od podziału produktu według pracy, do podziału według potrzeb. Niech żyje i umacnia się przyjaźń między PRL i ZSRR (Polską Rzeczpospolitą Ludową i Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich). To dlo tych, kerym te skróty dzisieji niewiele tłumaczom. I jeszcze: Lenin wiecznie żywy. Marks, Engels, Lenin, Stalin - twórcy naukowego socjalizmu.

Lata 80-te. NARODZINY SOLIDARNOŚCI - Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego powstałego na gruncie porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu - sierpień-wrzesień 1980 rok.

PIERESTROJKA, co jom zapoczątkował w ZSRR ówczesny sekretarz gernalny KPZR - Michaił Gorbaczow. Wedle Fyrcoka - to człowiek, co podarował kurze grzynda, a ona - wedle przysłowia - polazła wszynady. A hasła? Było tego tela, że co płot - to hasło, co sciana - to hasło. Co działacz - to hasło. Co hasło, to pusto obietnica i bujda ...

Rok 1989. Narodziny RZECZYPOSPOLITEJ z numerkym III. Komunizmus zbankrutował (choć po prowadzie, to my go w Polsce ni mieli, bo jako mie uczono w szkołach - komunizmus miał nastać dziepiyrko jak zgnije kapitalizmus i jego niejwysze stadium rozwoju - imperializmus). To by znaczyło, że niejgorsze jeszcze przed nami. Ważne, że obyło sie bez rozlywu krwi, bo z reguły bankrut to słabeusz opadły z siły.

A hasła - było tego tela i momy dalij, że aż ciynżko by było policzyć.

Wałynsa wydeptoła tela ścieżek przez tyn korzystny dlo takich jak on czas, że od wygwajzrów aż sie roji. Som sie w tym potraciły. Uzaś co szpryt-niejsi, ale i wredniejsi od niego kolesie tak go wykołegowali, że nawet w naprowadzaniu Poloków do Unii Euopejskiej udziału nie biere.

NO I DOCZEKALI MY TRZECIGO TYSIONCLECIO.

Rozebrany został mur berliński. Przeżyli my pogrzyb NRD (Niemiecka Republika Demokratyczna). To był absurd cołkiego stulecio, a można i ty-sionclecio, bo jako to było uznawać przez blisko 50 lot za coś normalnego odgródzyni murem jednego norodu o wspólnej historii i faszerowaniu go dwoma przeciwstawnymi ideologiami. A było tymu tak: W RFN (na początku go dało sie NRF) faszerowało sie ludzi ideologiom amerykoń-skom - bejsbolowom - kandy za dolarym, niczym za bałym, kotłujom sie zawodniki podle wilczego prawa.

W NRD - kołchozowom, kandy kolektyw na przyczepie od traktora jeździł z transparyntami i pieśniami na ustach sadzić kartofle. A było u Rusa już tak, że w nocy ludzie ukradkiem wykopywali to, co za dnia posadzili, żeby mieli co do garca styrczyć.

W RFN rozkwito żarłoczny kapitalizmus. Dobrobyt usypio - jednych politycznie, uzaś inszym dowo pozwolynstwo na odrodzani sie rozto-

mańtych ...izmów, ...yzmów i - jak downij - szukani wele siebie wrogów, bez kerych one ...izmy, ...yzmy nie umiom sie obyńś.

W NRD buduje sie zocjalizmus z nadziejom, że po czasie dońdom do komunizmu. Żle ni majom, ale na TRABANTA muszom sie ludzie zapi-sować i czekać 6 lot.

W RFN też ni majom wyboru i muszom tolerować hollywoodzki śmiet-nisko w kulturze i godzić sie na osoblivosti ustroju kapitalistycznego, znaczy tolerować przebrzydłe reklamy i śmieszne ceny, co sie kończom na 99.

W NRD użaś prziszło ludziom tolerować zachwyty (a niechby i udowane) twórczościom z gatunku "Pancernik Potiomkin". Godzić sie z rygorym posondzynio o wrogi stosunek do władzy, eli by keryś godoł to co myśli, abo co ogłondoł w telewizorze - nie z antyny na dachu, yno z tej ukrytej na gorze pod dachym.

W RFN dymokracjo bejsbolowo dowo przizwołyni jednostce ludzkij na wybiyrani dat w kalyndorzu, kere chce sie świyntować, abo też miejscow-ności na mapie świata, kandy chce sie spyndzić urlop.

W NRD demokracjo kolchozowo wciskała jednostka ludzko w tłum, uniformizowała jak w ZSRR. Świyntowani przikożanych dat trza było potwierdzać własnoręcznym podpisym na zbiorce przed pochodym piyrzomajowym i kundgebungym. Transparynty, fanfara, na porzondku dziynnym urlopy jyny u przijocieli w DEMOLUDACH.

W RFN i NRD jyny jedno mieli wspólne (gemeinsam). Jednym i drugim prziszło tolerować pobyt cudzych wojsk u siebie w doma. Tym piyrszym - amerykańskich, użaś tym drugim - ruskich.

I terozki jedno szłoby wywnioskować. Na świecie sztyjc momy pora "ognisk zapalnych" - jak na to godajom Poloki. Użaś kere ognisko wesprzyć finansowo, a kere wygasić - decydujom mocodawce. Było tak, że jyny liczyły sie dwie ciwilizacje - bejsbolowo i kolchozowo. Kolchozo-wo upadła, ale jeszcze jest mocka takich, co jom oplakujom.

Pomniejsi tego świata mogom se podkładać fojery, jako to tymu było i jeszcze jest w Jugosławii i jako to momy na dziyń dzisiejszy A.D. 2002 miyndzy Izraelitami a Palestyńczykami.

Role fojermanów pełniom - jak sie rzekło - jyny wielcy tego świata i też jyny na tela, na wiela majom w gaszyniu własny interes. Eli tyż jejich in-teres nie je zagrożony, to niech sie pieski nawzajem pożerom.

Jo bych tukej za FYRCOKYM padoł tak: z tych wszystkich ...izmów, ...yzmów jyny jednego nie dołbych se odebrać. Tego, ogrodzonego pło-tym jego chałupy. Za tym płotym dycki było miejsce dło przijocieli. Cze-kała na nich altana ogrodowo, stół z dymbowych bali obramowany ławkami, murowany wyndzelnik, rożno i - nigdy nie zankinano na kłodka furtka. Nawet przed cygonami, a bywało, że i cołkiym cudzego wyndrow-ca ugościł.

Ostatnimi czasy (po 1989 roku) "mówiacy" dali "godającym" pozwo-łyństwo na organizowani dorocznych konkursów ślonskij godki w Kato-wicach.

Ale jurory robiom se jaja

chcom, żeby godać:

Stefciu - jo cie kochom - zamiast:

Sztefa - jo ci pszaja.

Beztoż żodyn z tych, z kerymi sie spotykomy na przileżytość moich po-bytów w DOMOWIŻNIE, ni miołby szans na punktowane miejsce w ta-kim konkursie, bo tukej jyny rychtyk godomy po ślonsku a ni - jaktego chcom jurory - żeby było po polskimu-ślonsku.

Ale też, żeby tako tymu było, to trza mieć namacalne fakty. Eli w odpow-iednim momyncie (choby jyny podczas tych znieawidzonych reklam w telewizorze) zainteresuje sie młodych ludzi pamiontkami, o kerych nie wiedzieli, a dotyczom obiektów odległych o pół godziny jazdy na kole - to i z tego hollywoodzkigo śmietniska zrezygnujom. Styknie, że z 10-ciu wolnych słuchaczy zostanie jedyn. Fyrcok też skupioł za tom słynnom stodołom od Cichego gromadka bajtli. Piynciu zostało mu wiernych. Je-dyn odpłacił mu za dobre serce - nie jyny ku dzieciom, ale i zwierzyn-tom i kwiotkom - słowym zapisanym na papier.

Ludzie utytułowani majom dło takich jak Fyrcok porychtowane szuflodki. Fyrcok też był zaszuflodkowany i na policyji, na farze, w kadrach na grube i Bóg jedyn wiay kandy jeszcze. Niejbardziej ni mieli go radzi (nie wszyscy oczywiście) za jego interpretacyjo pojyńcio PATRIOTYZMUS. Chodziło o tyn patriotyzmus, o kerym nauczajom w szkołach i przed ke-rym kożom prawie klynkać. Według niego taki patriotyzmus powinyn być zakozany, jak pojedynkowany. Przeca nie pojedynkujom sie ludzie,

kerzi se pszajom. Taki "wielki" patriotyzmus też nie zjednuje przijocieli, a poróżnio ludzi. Co inszego tyn "parafialny", jako to godoł o czymś, na co dzisieij godajom "folklor". Ciekawie o tym napisoł Andrzej Piontek w kwartalniku "Zeszyty Pszowskie" - wiosna 2002 na str. 21. A pisoł tak: *Uważam więc, że patriotyzm powinien być prawnie zabroniony, jak zabro-niono pojedynkowania się. Ofiarami prymitywnego patriotyzmu są śląskie dzieci-harczerze z roku 1939. Dla zwykłych ludzi bez sensu jest śmierć "dziewięciu z Wujka", która ma wartość jedynie dla handlarzy śmiercią, wykorzystujących ją do celów politycznych. Dlatego pod pomniki przy-chodzą bezwstydnicy z wieńcami, których sami nie niosą, lecz je "skła-dają", co się ogranicza do prostowania szarf, jakby do tego za głupi byli ci, co nieśli wieniec. No, ale wszystko musi się odbyć zgodnie z teatralnym scenariuszem. Przy pomnikach zgorszenie. Jedni bezwstydnicy wyrzucają wieńce i kwiaty złożone przez innych, by położyć swoje. Nazwisk po-ległych nie znają, los ich rodzin jest im obojętny. Pomników mamy pod dostatkiem. Pamiętać trzeba, że dawniej przywódcy dawali rozkaz "za mną", teraz mówią "naprzód". To tyle z tekstu od Andrzeja Piontki - czło-wieka, pod którego pojnowaniem patriotyzmu na wielką skalę podpisują się oburącz.*

Podobnie jak Fyrcok - nie szteruje mnie nauczani w szkołach tego patrio-tyzmu na wielko skala. Eli mnie cokolwiek szteruje to jyny zaniechani nauczanie o ludziach - choby takich jak nasi nobliści co majom ślonski korzyny. A momy ich niemało jak na Ślonsk. Paul Ehrlich - medycyna - rok 1908. Gerhard Hauptmann - literatura - rok 1912. Fritz Haber - che-mia - 1918 rok. Friederich Bergius - chemia - 1931 r. Otto Stern - fizyka - 1943 rok. Kurt Alder - chemia - 1950 r. Max Born - fizyka - 1954 r. Maria Göppert-Mayer - fizyka - 1963 r. Konrad Bloch - medycyna - 1964 r. Reinhard Selten - ekononia - 1994 r.

W końcu - coś tam pomału zaczyna sie już przeciskać na szpalty gazet i roztomańtych periodyków. Im bliżej do tej U.E. - tym czynściej idzie coś poczytać interesujonego, a nom ślonzokom bliskigo.

Nawet tygodnik "POLITYKA" nr. 32 - 11 sierpnia 2001 - na str. 32 mo napisane ... *Święty Wojciech był Czechem, Władysław Jagiełło - Litwin, Stefan Batory - Węgier, a Janosik - Słowak. W Bolesławcu stoi pomnik Michaila Kutuzowa. W Pokoju - Fryderyka Wielkiego, a w Bielsku-Białej - Marcina Lutra.* Wielaż to jeszcze niepolskiego momy w dzisiejszych granicach Polski. (Według "POLITYKI" - jak wyżej).

Kłodzko - miniatura praskigo mostu św. Karola. W Czerennej k/Kudowy Zdroju - kaplica czaszek. Wambierzyce - Bazylika podobno bardziej do pałacu niż do świątyni. W Żelowie K/Lodzi - tam do dzisieij żyjom po-tomkowie czeskich osadników, kerzi uciykli na przełomie XVII i XIX wieku przed prześladowaniami religijnymi. Momy dziesiontki pałaców na ziymiach zachodnich od niemieckich arystokratów. Na Opolszczyźnie momy niszczejonce pomniki poświęcone niemieckimu wojsku, co po-ginyli w niemieckij armiji. We wsi Pokój/Opole obstoł pomnik od Fryde-ryka Wielkiego, a to jyny przez to, że ni mioł głowy. A Góra Św. Anny (Annaberg)- Krzyżowa - kandy I prymier tej III RP całował sie z Helmu-tym Kohlem - wtedy kanclerzym RFN. Do wszystko som ślady niemieckij kultury i nauki.

Joch mioł prawie tela lot, zech chłonoł jak szwam podowane mi w ni-mieckij Volksschule wiadomości o tym, co powyżyj.

Holyndrzy, włosi i Węgrzy - tyż majom ślady w dzisiejszych granicach Polski. 150 lot tymu holynderski inżynier Jakub Steenke zaprojektował kanał Elbląsko-Mazurski. Od Węgrów Poloki dostały króla Ludwika, bardziej znanego jako ojciec Jadwigi i teś Jagiełły. Stefan Batory.

Na Wawelu leżom wele siebie - Litwin, Szwed, Węgier, Saksończyk, choć pomnik Augustowi wystawili Niymce. Od Włochów - Francesco Nullo.

Styknie tych przykładów, choć jeszcze dochodzim dzieła sztuki.

Bydymy widzieć, jako to dalej tymu bydzie, jak sie dostanymy do tej Unii Europejskij. Jedno już dzisieij szłoby przewidzieć. Wielcy patrioci sie zapłaczm, a do synsownego patriotyzmu urośnie dzisiejszy FOLKLOR. To on bydzie stanowił o tzw. umiłowaniu - w mojim przypadku DOMO-WIZNY, a dło inszych bydzie to MAŁO OJCZYŻNA abo HEIMAT. Oby sie wszyscy pszoli - jako to Fyrcok o tym marzył, a takż i insi fyrcoko-podobni. Oby.

Rudolf Paciok

WARKOTSCH WAR SCHNEIDER UND ZOPF ORGANIST

Wie es der Zufall so oft wollte, lebten beide Familien in einem Hause, ihre Wohnungen lagen im selben Stockwerk, die Eingangstüren waren gegenüber. Das Haus, indem sie wohnten, war die ehemalige alte Rydultauer Schule und stand unmittelbar neben der Pfarrkirche. Beide Männer, der Schneider Warkotsch und der Organist Zopf, hatten die selbe Statur, sie waren hager, mittelgroß, feingliedrig, das Gesicht schmal, Haarfarbe und Frisur nicht viel voneinander abweichend. Beide gingen meistens schwarz oder dunkelgrau gekleidet und Schnitt und Form der Anzüge waren meistens gleich. Beide hatten einen leichten Gang, im Gehen und Gehabe waren sie sich auch ähnlich, man hätte sie gut für Brüder halten können. Nur in einem machten sie einen Unterschied, in ihrer Gesinnung und in ihrer Muttersprache, Warkotsch sollte eigentlich Zopf heißen und Zopf sollte Warkotsch heißen. Obwohl beide Worte dasselbe bedeuten, so waren ihre Namensträger verschieden, denn Warkotsch liebte mehr das Deutsche und Zopf war mehr für das Polnische eingenommen. Beide waren brave und geachtete Bürger, beide mußten mit dem Groschen rechnen, denn Warkotsch verdiente als Schneider ebenfalls so wenig wie Zopf als Organist. Viele Jahre lang habe ich beide Familien beobachten können, denn Schneidermeister Warkotsch war ein guter Meister seines Faches und hatte drei schöne Töchter, nach welchen sich so mancher junge Rydultauer die Augen auskugelte und den Hals verdrehte. Organist Zopf dagegen konnte man jeden Sonntag in der Kirche beim Orgelspielen sehen und außerdem kam er jedes Jahr als Organist während der Kollende mit dem Pfarrer in unser Haus. Seine Aufgabe war es am Rahmen über der Eingangstür die drei großen Buchstaben K + M + B und dazu die Jahreszahl mit weißer Kreide aufzuschreiben. Bei dieser Gelegenheit nahm er auch gern ein Trinkgeld, ähnlich wie der Pfarrer und die Ministranten es taten, in Empfang. Der schmale Geldbeutel vom Organist Zopf wurde durch diese Kollendegabe jedes Jahr wieder aufgefüllt. Seitdem ich in die Welt zog, um zu studieren und Soldat zu sein, sind mir leider diese beiden Familien entschwunden und ich konnte das Schicksal dieser Familien nicht weiter verfolgen.

In Oberschlesien besagte der Familienname nichts über die Gesinnung ihrer Träger. So waren in meiner Heimatgemeinde Rydultau viele Familien mit deutschen Namen, wie z. B. Herzog, Handschuh, Heisig, Seemann usw. mehr der polnischen Sache zugehörig. Wir hatten aber auch viele Familien mit polnischen Namen

wie Wodecki, Bekowski, Hiltawski, Jendralski usw., welche rein deutsche Familien waren. Der größte Teil der Oberschlesier war Träger von ober-schlesisch-mährischen Familiennamen wie z. B. Taschka, Skamel, Klimmek, Liduch usw. So wie in meiner Heimatgemeinde Rydultau, so war es auch in allen anderen Ortschaften unserer ober-schlesischen Heimat.

Oberschlesien ist ein Grenzland, welches sehr reich an Bodenschätzen und Industrie ist. Infolgedessen war es seit über hundert Jahren ein starker Anziehungspunkt für viele arbeitssuchende Menschen aus den angrenzenden Ländern, so wie es heute z. B. die Bundesrepublik Deutschland für viele Arbeiter aus ganz Europa und Nordafrika ist. Ein großer Teil der nach Oberschlesien zugewanderten Menschen, so wie es auch mein Vater tat, welcher aus Mähren kam, sind dort heimisch geworden. Diesem Umstand ist es zu verdanken, daß in Oberschlesien die Familiennamen einen

slawischen, deutschen und auch vereinzelt romanischen Klang haben.

In den meisten Familien entscheidet die Sprache der Mutter über die Umgangssprache in der Familie, denn die Mutter erzieht das Kind und es lernt bei der Mutter die ersten Worte. Somit gab die Mutter meistens den Ausschlag für die Gesinnung der ganzen Familie. Wenn deutsche Männer eine polnisch gesinnte Frau heirateten, so waren die Kinder auch oft der selben Gesinnung, obwohl sie einen deutschen Namen trugen. Ähnliche Verhältnisse sind auch in Polen, in der Tschechoslowakei oder in anderen slawischen Ländern anzutreffen, wo Männer mit deutschem Familiennamen große slawische Patrioten, Professoren, Gelehrte, Fabrikbesitzer usw. waren.

Unsere ober-schlesische Heimat ist infolge ihrer geographischen Lage und der vielen Reichtümer, die sie besitzt, ein guter Boden für die Verschmelzung verschiedener Volksstämme gewesen, wie es am Beispiel vom Schneider Warkotsch und Organist Zopf sich zeigte.

Leopold Walla

Aus dem Buch "So lebten wir in Oberschlesien"

MAUOWIELA O H.B.

Szkryklac o nim to niyma synsu. Cza go ino czytac. A jak o czytanie idzie to je on juz mocce „Glywiczokom”, i niy ino Glywiczokom, znany. Od niego czytroksiong o Glywicach i Gornym Slonsku dou mu suawa, ale gynau tak samo piykne som np dwie jego mauie ksionczeczki, kere juz idzie dostac i w jego miescie dziecinstwa - Glywicach. W prowdzie uwazom, co autora nojlepijy czytac we originale, ale niy zawsze je to przeca myjglic. Tak tysz sam cosik polecom tym kere jeszcze miszjakom we Glywicach. Mom sam na mysli „Stopniowe zamieranie krzyku” i „Zamek Koenigswald” (obie ksionczki som publikacjoma Wydawnictwa „Wokol nas”). Te dwie ksionczeczki som ciekawe jeszcze wyncyj jak je przeczytacie jedna za drugom. Pjyrso i drugo pokozujom zakres swiata jaki autorowi zostou ze Slonska i Gliwic (ale niy ino) i jaki musiou wzionc ze sobom jak poszou furt ze Oberschlesien. Atmosfera downych Glywic i downego Slonska znondzie tam kozdy kery jom poradzi znonsc jeszcze i dzisiej. Je to take restaurowanie downych Glywic i sznupanie za wspomnienioma. Czamu niy ? To je jak lekca geszichy, tyj niysfauzowanyj. Takij geszichy niy poznocie nikaj ino we opowiadaniach starych ludzi, kere mieli te szczynsie i te niyszczynsie tysz, szkryflac jom swoim zycim. Tak to robi Horst Bienek i tak sie to nojlepijy czyto. Zastanawio mie ale skond sie biere odniego popularnosc. I wydowo mi sie ze wiyom. Skromnosc z kerom szkryfio dowo mu i dzisiej po odniego smierci ta popularnosc i przichylne opinie czytelnikow. Dowodow je na to aze za tela w jego tekstach. W ksionczkach tych znondziecie i pieronym wiela ze zycia H.B. potym - potym znaczy po Glywicach. Nawet we „Zamek Koenigswald”, kerego akeja sie dzieje we Czechach je atmosfera, kero niy-zaprzeczalnie durch i durch wraco do swojskich do autora stron i czasow. Co je fikcjom a co je przezyte przes autora chociz w mauyj drobince, to je obojyntne. Wszyso sprowadzo sie do wrazen z przyczec kere kedys tam zahaczou o H.B. A przezou on mocka, niy mauowiela. Ale tu zapraszom do czytania. Na koniec spomna i o inkszyj ksionczeczce, je niem (tym razym po niymiecku) „Reise in die Kindheit - Wiedersehen mit Schlesien”. Godo ona jak i od niyj tytel wskazuje o rajzie w czas dziecinstwa i o juzas-trefyniu sie ze Slonskym. Mie niy poradzi wylys ze gowy jedyn fragmynt kaj autor godo o konsku wyngla kery se wzion ze Slonska mit do dom, do „Niyemiec” i postavio u sia w doma jako pamiotka. To je nojpiykniejszo scyna jako idzie znonsc u H.B. Co bych chciou som miec stoc we moim cimrze na oknie jak niy konsek wyngla ze Gornego Slonska? Ale na szczynsie mom sam aby stoc pora ksionzkow tego autora. Co bych sam niy naszkryklou to by bouo ino mauowiela, a autor Horst Bienek je przeca warty przeczytania. Pjyrsk !

Szwager



Zeichnung Eva Gensel

KLUCZE CZY SZPERHOKI

W mojih ukohanych Uogewnikah S'loonskih suyszauo sie za modu zahyntu starszyh, kerzy powiadali do swojich dzieci abo wnukoow: **uc sie dziecko uc, bo nauka to potyngi kluc.**

Niy inacyj musiauo byc' w latach uo keryh uopowiadaua tyjatrualno sztuka pod tytuum „KLUC”. Napisoj joom Tyjda Gajda - nasz uogewnicki pisarz, uo kerym rzech jurz Woom kedys' wspoomniou. Cieszooua sie uoona rozcasu u nos wielkoom popularnos' ciom niy ino przez to, rze wielu uogewczan w niyj grauo, a reszta joom wielokroc' uogloondaua, ale skirz tego,

rze szuo z niyj wyciongnon' c' nauka i wnioski na wiela s'loonskih pokolyn'. Uopowiadaua uoona uo tym, jak muodzierz kero kon'coua zawodo wo szkoua, zgroomadzoono w auli na urocystos' ci wrynczanie szkolnyh s'wiadectw suyszaua uod swojego rehtora, rze soom uoone **klucami w dorosue i dostatnie rzycie.**

Pos'wiadczauy uoone nabyto wiedza. Tak boouo jesce w czyrwcu. We wrzes'niu, kedy trza boouo is'c' w ta dorosuos' c' i szukac' roboty, to prawe zacoon sie s'wiatowy przedwojny kryzys i wszystkie szkolne absolwynty uostauy bezrobotne. Przypomniauo mi sie to, bo prawie trefioou rzech przy ukuodaniu szpargauow na list uod Wolfganga, syna kolegi mojego Vatra, a mojego kamrata z dziecinnyh lot.

Wypytyuow w niym uo tamte lata, bo boou ciekawy czymu ih brakuje w rzyciorysie Jego Uojca i latach Jego roboty. Szukou ih, bo dowauy by uoone uowodowiauuj Matce morzliwos' c' staranio sie w Nymcah uo wynkszo po Nym pyndzyjo. Uodpowydz' booua wtyncos dloo niego, kery niy wiedziou co to bezrobocie, niywiarygodno i zdumiywajoonco - jego Uojciec Rooman, tak jak wielu inkszyh dostou taki **kluc.**

Dzieloou los wielu modyh i wyuczonych - boou bezrobotny. Pisha uo tym, bo niykerzi teroski guoszoom zas' „jedyne suszne” edukacyjne hasua wzglyndym muodzierzy, w nadzieji rze udo sie im niymi zmanipulowac' modyh do kon'ca. Potym, po wieloletnij mitryndze szkolny abo studynckij, dajoom im zamiast nowoczesnego narzyndzio, bezwartos' ciowy szperhok.

I hoc' bydzie uoon ze szczybua abo pozuocany, a nawet wsadzoony do uozdobnyj skrzynki ze zamszowoom wys'ciooukoom i z douooczoonym certyfikaty, kupiony za jejih Uojcow wyrzecznia i ciynrsko zarobioone pinioondze, moge sie uokozac' ino bezurzytecznym szperhokym, kerym „rehtory” wkrodajoom sie w Ih zaufanie!

Bo niy bydzie uoon pasowou do rzodnego nowoczesnego zoomka uotwyrajooncego drzwi ku s'wietlanyj przyszuos' ci. Take, czynsto bezwartos' ciowe stare szperhoki, zamiast **klucow do przyszuos' ci** sprzedowu coroz wyncyj szkooou.

Niy pasujom nikaj. Nicego niy idzie niymi uotworzyc'. Surzom ino „rehtoroom” do uotwyranio naszyj rodzinnyj szporkasy. Pasujoom nojwyrrzyj za szkou na s'ciana abo miyndzy inksze niypotrzebne klamory, kery trzymie sie w dooma ino ze syntymyntu. W uogulnos' ci szuo by tyh „s'lusorzy uod rzekomych klucow do przyszuos' ci” zrozumiec'. Uooni tyrz muszom z cegos' rzyc'.

Im na hlyb udowo sie zarobic' ino dziynki naiwnos' ci kolekcjooneroom takih klucow, nabranym czynsto dobrowolnie klucznikoom, kerzy kedys' bydom sie zastanowiac' po co im couke ih pyunki?

Moga cos' na tyn tymat powiedziec', bo tyrz ih pora moom. Dopiyro po latach cowiek rozumi, rze wmawiau sie mu potrzeba i zahyncauo cynsto do nauki niypotrzebnyj, zbyndnyj a niyroz i fauszywyj. Niypotrzebnyj z praktycznego punktu widzynio, a przez to bezurzytecznyj! Bo za niroom niy szuy spouecznie urzyteczne **umiejyntnos' ci.**

Tyh modyh z takimi klucami zawieszoonymi na sznoorce na karku, jak u mauyh dzieci co lotajom samopas po placu pod niyuobecnos' c' Uoojcoow, coroski wyncyj. „Wypluty spouecznie” jak wycyckany boomboon co stracioou swooj smak. Bez zajyn' cio, bez nadzieje na lepsze jutro.

Szykuje sie u nos Ih nowo fala. Godoom uo tym, bo korzdy cas mo swoje zagorzynie, swoja uodhuan' i zastawioone sidua rzoondz.

Wmoowioonyh uoczekiwan' i marzyn', uoztoczoonych mirarzy. A i szarlanoow coroski wyncyj. Kerzi hytajoom wszystko co sie ruszo we swoje wnyki. Coroz wyynkszom sztukom jest w nie niy wlyz', im niy ulec i sie im niy poddac'. Corozki ciynrzyj jest twardo stoompac' po ziymy. Wcale modym i niydos' wiadczoonym.

Wielu downo zapoomniauo suowa Stansława Staszica:

„Umiejyntnosci dopotad sa jeszcze pronym wynalazkiem, moze czczym tylko rozumu wywodem albo pronymiactwa zabawa, dopokad nie sa zastosowane do uzytku narodow”.

Trza by przywouac' naszyh s'loonskih naukowcoow i nauczycielooow, coby wzynli sie te suowa do serca i coby mys'leli uo tyj urzytecznos' ci nauki i uos'wiaty wzglyndym NORODU!

Na razie niy majoom jyj hyba na wzglyndzie, kej dzisioj, w dziyn' rozdanio s'wiadectw szkolnyh, modzi przyhodzyli s'niymi w ryncie ze szkouy prosto do Parafijalnyj Grupy Poomocy dlo Bezrobotnyh po porada i poomoc.

Sytuacja ta sama, jak wtynczoos przed wojnoom. Czy by i latos', zamiast **klucow** do przyszuos' ci, rozdowane boouy w szkouah niyurzyteczne i zuodziejske przez to **szperhoki** ?

NA JOOZEFA ROBOTNIKA

W mojih ukohanych Uogewnikah S'loonskih, jak downo pamiyntoom, piyrszego maja boouo zawdy wysouo.

A to za sprawoom uogewnickih Robotnikooow, kerzi w tym dniu fajrowali. Wtynczoos jeszcze, niy potrzebowali zaprzyngac' inszyh , coby Im tyn fajer szykowali.

Sami sie z tym radzyli. Rzoodyn Ih niy wyrynczou.

Mieli swoja s'wiadoomos' c' i niydowne jeszcze, przedwojnyne dos'wiadczynia.

Mieli tyrz Rady Zakuadowe, kere umiau zadbac' uo pijoondze, a nade wszystko miauy siyuy organizacyjne, zaangarzowanych dzauaczooow i s'rodki finansowe na to, coby uoo Nih pamiyntac' i uradowac' przynajmniyj w dniu Ih s'wynta.

Jurz z samego rana zaczynauy sie capstrzyki zakuadowy uorkiestroow, kere maszyrowauy

naszymi droogami, grauy marsze, szlagry i inksze kooncki coby uobudzie' couke Uogewniki ze s'niku.

Jo miou te szczyn' s'cie, rze kole Nos przechodiooua uorkiestra dynto ze Kopalnie „Uogewniki” w jedna stroona, a za hwila w drugo stroona szua dynto ze Huty „Zygmunt”.

A w niyj grou na klarnycie mooj Ujek Ymil. Z czasym tyrz kohany bracic Gerhard.

I tym sposobym uod malutkos' ci boou' eh uczestnikym pohodoow.

Rod rzech sie kryncioou kole muzykantoow, z kerymi uoonczooua Mie niywidzialno siyua przycioonganio.

Siyua zamiyuowanio do muzyki i muzykowanio. Niy ino mojego.

Wtynczos przydowou' eh sie ino do noszynio Ujkowi nootoow.

Ale tym sposobym, uod bajtla booueh na czele pohodoow.

Przed goorniczymi szauamajami, wyrblastami z droomlami uozdobioony mi wyszywanymi fartuszkami i fanfarami tak samo uobstrojoony.

Pohody szuy na Bojisko abo do Amfityjatu, kaj boouy wystympy, zabawy dlo dzieci i starszyh, szpile, sztandy i nojwarzniejsze - piwo.

Bo z piwym boouo wtynczos jeszcze knap, hoc' browar w Bytooniu lou je z rubyj ruy i nabijou do beczek.

Starsi sie pocioongali piwko z kufila, zagryzali wusztym abo krupniokami i uosprawiali, a my bajtle koonkurowali we wus'cigah z jaykym na uyrzce, w zajynczyh skokah z nogami w miehu, abo w ciepaniu bojtlikami z grohy do piramidy ustawioonyj ze biksoow po farbie, kaj nagrodoom booua gors' c boomboonoow.

Dlo uciehy stawiane boouy tyrz guadko uoheblowane supy, na keryh wisiau maszkyty, wino, wuszt, abo banany za nagrody dlo tyh, kerzi poradzyli poo niym wlyz' na soom wyrrh i je serwac'.

Troha starsi zas', hodzyli My s'wyntowac' w pohodah z harcerami. We krootkih galotkah i ze proporcym.

I take to boouo nasze, lokalne, uogewnicke, s'wynto Robotnikooow.

Pootym nastou czas cyntralizacji i masowos' ci. W s'wyntowaniu tyrz.

Organizatory coroski mniyj pamiyntali uoo Tyh keryh to boouo S'wynto.

Warzniejsze uod tego boouy trybuny, ci kerzi na nih stoli i dloo keryh skandowane boouy rostomajte hasua.

Robornik kajs' w tym wszystkim przepod. Dloo Niego uostauo defilowanie z fanoom przed trybunoom. Ale cioongotka do majoowek uostaua.

Wy Mie tyrz. To pewnikim uoona pognaa mie z mojoom s'lubnoom i Tes'ciam na S'loonski Uodpust do Joozefa Robotnika we horzowskim Goornos'loonskim Parku Etnograficznym.

Bo za przyczynoom Pijusa XII, to Uoonego w tym dniu moomy za Patroona Robotnikoow.

Patroona dobryj i uodpowiedzialnyj Roboty, kero jest z'rooduym utrzymano Familije i Spoueczyn'stwa.

Tam tyrz kerys' jurz roz, ale tego nigdy za wiela, uobejrzeli My zabytki drzewianij architektury S'loonska. Zaszli My po droodze do gospodarstwa, w kerego uogrodzie stoi poranos'cie uli.

A istny spod Nowego Sooncza uosprawioou uo pszczouah i pokazowou jak sie wybiyro miod.

Te borze stwornia rzyjoom na Ziymy uod 350 milijoonoow lot, a „spouecznie” we rojah uod 55 milijoonoow lot i przetwaui jako jedyn z niylicznych gatoonkoow.

Nojbarzi interesujoomco jest organizacjoo Roboty pszczelyj Familije.

Tam korzdy jurz uod urodzynio wiy co mo robic'.

Rzodyn sie niy wadzi, wszystkie suhajoom Matki. Tyj Robocie pojnytyj jako Misjo jest pos'winycoony. Arz miyuo boouo posuhac' tego robotnego bucynio pszczelyj rodziny. Downij s'loonsko regioonalno Familijo tyrz tak buczaa robotoom swojich Robotnikoow

w kopalni, hucie, elektroowni i w kupie inkszych miejsc sumiynnyj roboty.

Czy sie jeszcze kedys' doczkoomy na powroot tego robotnego fucynio?

Uodpust u Joozefa Robotnika zaczynou sioodme jurz S'loonske Gody, kere uorganizuje Zwioonek Goornos'loonski. I jak przystauo na S'loonzokoow, hoc' yno we fragmynie Mszy, prosyli My po s'loonsku:

„Porzykejmy do Patroonoow coukego S'loonska s'winytego Jacka i s'winytyj Jadwigi S'loonskiyj ...”.

Arz serce s'ciskauo. A Dusza gojooou. Tego roku Mszo booua z proces-

joom lipin'skoom, skirz rocznice 200-lecio Lipin. Procesjo jak za downy lot.

Z dziec'mi, kobyitami i mynrzami w s'loonskich strojach, ze figurami s'winytyh, uobrozami i sztandarami. Na jednym s'nih s'winyto Anna Samotrzec'. W tym momynie mys'li poleciauy na Annaberg, kaj uo tym samym czasie Biskup misyjny Antooni Reimann uodprawiou Mszo s'winyto we franciszkan'skiyj Wspoolnocie Prowincje s'w. Jadwigi.

Ku kadubskym pastwiskoom z keryh wyszou tyn Nasz ukohany Pastyrz. Na kerego Druge Prymicje niydugo sie wybieramy.

Korzdo rajza ksztauci, godali starzi. Niy inaczej boouo i tym razym.

We starym drzewianym kos'cioouku s'winytego Joozefa Robotnika wiszoom po bokah stacje Droogi Krzizowyj.

I nic by w tym niy boouo ciekawego, bo tak jest we korzdym kos'ciele, keby niy to, rze podpisane soom po s'loonsku piykym Gotykym.

Dloo Mie jest to uzasadniynie dlo tego, co robia.

Bo jak downe S'loonzoki mogli swoje mys'li zapisowac' Gotykym, to czy

Jo - wspoouczesny S'oonzok, w uoparciu uo ta samo zasada, niy moom

prawa urzywac' do tego samego celu internetowego zapisu Jynzyka

S'loonskiego? Wedle tego co'h ujrzou, to moom!

Prowda?

Antoni Respondek

PS: Uobejrzijcie sie co'h po Uodpus'cie u Joozefa Robotnika znod wsadzone za wyciyraczkami we swojym autoku uostawioonym na parkingu przed Skansynym. Kolportery sie niy uobijali. Zrobiyli swoje. Kuknijcie tyrz na to co'h tam kupioou sie na pamioontka. Wlyz'cie sie pod ta adresa kero jest pod uobrozkiem i pokukejcie.

Morze sie Woom cosik tam spodobo?

Abo sie cegos' nowego dowiycie?

GRZYCH I SZTRAFA (III)

A szlaga boua ze wszystkich zwierzyntow na ziymy, kere Pon Bog stworzyli, nojwiyncej chytro. Ta szlaga pedziaa do kobyty: Aby naprowdy Pon Bog godali: Niy mocie jesc ze wszystkich drzewow tego ogroda? A kobyta odpediaa szlance: Mogomy jesc ze wszystkich drzewow ze tego ogroda! Ino ze drzewa kere je we pojszczodku, Ponboczek pedzieli: Niy mocie z niego jesc, a choby zescie ino ze niego apfyl tykli, to tysz zaroski krepniecie (umrzycie). Na to szlaga pedziaa kobyty: Na zicher niy krepniecie! Ale Pon Bog wiedzom, co jak bajsniecie se apfyl ze tego drzewa, roztworzom wom sie slypia i bydziecie jak som Pon Bog znac dobre i zue. I merkua kobyta ize apfyl ze tego drzewa bou dobry do jedzynio i maszkytny do oczow, i co ze tego drzewa idzie erbnonc cosik skiz rozumu. Utargaua ze niego jedyn apfyl, bajsua se roz i daua se tysz bajsnonc od niyj chopowi, kery bou kole niyj: I on se tysz bajsnuo. A naroz roztwaruy im sie slypia i oba merkli ize som sagate; uplytli se bezto ze lisciow od figow obleczynie. Naroz usuyszei - chop i od niego kobyta - ize Pon Bog idom we ogrodzie, jak prawie zawioou wiatrym. I skryli sie przed Ponboczkiym we ogrodzie miyndzy drzewoma. A Ponboczek zawouali na chopa i sie go spytali: Kaj zes je? A on odpediau: Usuyszouch Ponboczka we ogrodzie, wystraszcouch sie, bo zech je sagaty, i zech sie skrou. Pon Bog pedzieli: Fto ci pedziou izes je sagaty? A moznos jod ze drzewa, z keregoch ci zabroniou jesc? Chop odpediau: Kobyta, kero Oni mi dali za zona, daua mi sie bajsnonc apfyl ze tego drzewa, i zech se tysz bajsnuo. Na to Ponboczek pedzieli do kobyty: Czamus to zrobioou? Kobyta odpediaa: Szlaga mie nakusioou i zech zjadua.

Na to Pon Bog pedzieli do szlangi: Izes to zrobioou, bydziesz przeklynto miyndzy coukimi zwierzyntoma dzikymi i tymi co we doma som czimane; bydziesz sie czougac na brzuchu i proch bydziesz jesc aze do ostatnich dniow twojego zycio. I niyprzjazn dowom miyndzy ciebie i kobyty, miyndzy mode twoje i potomstwo od niyj: One ci rozcasko gowa, a ty mu pynta. Do kobyty Ponboczek pedzieli: Bydziesz mie ciynzko przy nadzieji, bydzie cie boleć przy rodzyniu, do chopa bydziesz sie ze pragninioma richtowac, on bydzie rzondziou ze tobom. Do chopa juzas Ponboczek pedzieli: Usuchous sztima kobyty i zjodzes ze tego drzewa z keregoch ci niy kozou jesc - bestusz skuli ciebie przeklynto bydzie zymia: Ciynszko bydziesz na jedzynie kole niyj robiou, aze do konca zycia. Sztachel a oset bydzie ci ona wydowac, a przeca bydziesz ze tego zou co ona

ci do. Szwicowou bydziesz skisz roboty wele jedzynia, aze niy pondziesz nazod do ziymy, ze kerys zes prziszou; bo ze prochu zes powstou i prochym sie juzas stoniesz. I chop dou kobyty na miano Chawwa(Ewa), bo miaua byc matkom od wszystkich zyjoncyh. Ponboczek narichtowali do chopa i od niego kobyty oblyczynie ze felow i przyoblykli ich. I pedzieli Pon Bog: Tak czuowiek stou sie choby My: zno dobre i zue; niych tero ino niy wyciongnie bez cufal rynki, coby utargac tysz apfyl ze drzewa zycia, coby go zjyse i zyc na wieki. Beztosz Ponboczek wyciepli go ze ogroda Edyn, coby robiou kole ziymy, ze keryj powstou. A jak juz Ponboczek ludzi wyciepli, to postawyli przed Edynym Cherubow i klinga od miecza kero sie fest buysko, coby wachowac cesty do drzewa zycia.

KAIN I ABEL (IV)

I prziszou Adam ran ku swojyj kobyty Ewie. A ona poczynua i urodzioua Kaina. I pedziaa:

Ponboczek dali mi mynzczyzny! Potym urodzioua jeszcze od niego brata, Abela. Abel uaziou i robiou kole owieczkow, a Kain robiou kole ziymy. Za jakis czos Kain dou ofiara Ponboczkiowi ze tego co dowaua mu zymia. Abel tysz dou ofiara piyrwocin od odniego owieczkow i ze od niyj fetu. Pon Bog wejrzeli na Abela i na od niego ofiara; na Kaina juzas i na od niego ofiara niy chcieli wejrzec. Jankor nerwow prziszou na Kaina, kery uaziou markotny. Ponboczek spytali sie Kaina: Czamus je markotny i's sie snerwowou, i czamu tyn jankor? Przeca kebys robiou dobre, bou bys fro po gymbie: kej zas bydziesz niyfajnie robiou, grzych je kole twoich wrotow i wachuje na cia, a przeca ty mosz byc od niego mocniyszy. A Kain pedziou do brata Abela: Podz idymy na feld! A kej byli na feldzie, Kain ciepi sie na od niego brata Abela i go zabiou. Naroz spytali sie Pon Bog Kaina: Kaj je twój brat, Abel? A on odpediau: Niy wia! Przecach niyma odniego wachtyrz? Pon Bog pedzieli: Cos to narobiou? Tosz krew brata twojego wouo ku mie ze ziymy. Teroski bydz przeklynty na tyj ziy-mi(feldzie), kero sie rozwarua, coby ze twoich ryncow wzionc krew od twojego brata.

Kej bydziesz kole ziymy robiou, niy bydzie ci ona rodzioua. Szmatlou sie bydziesz i szlajou na ziymy! Na to Kain pedziou Ponboczkiowi: Za srogo je moja sztrafa, cobyh jom szcimac poradziou. Dyc jak Oni mie terazki wyciepujom ze tyj ziymy i mom sie poniywyrac i kryc przed Nimi, kozdy kery mie spotko, bydzie mie poradziou zabic. Ale Ponboczek mu odpediau: O, niy! Kery by ino zabiou Kaina, siedym razy by dostou sztrafa!

MÓJ ŚLĄSK, MOJA POLSKA, MÓJ ŚWIAT

Jestem Ślązakiem. To dla mnie tak oczywiste, jak to, że bije we mnie serce i że oddycham. Śląskość mnie boli. Ten ból, czasem bardziej realny od bólu fizycznego, jest dla mnie dowodem na to, że to coś istnieje.

Przez wiele lat moja tożsamość nie stanowiła dla mnie problemu. Wychowałem się na Śląsku wiejskim, w otoczeniu, w którym moi pobratymcy stanowili ogromną większość. Śląskość przez wiele lat była dla mnie jedynym światem, jaki znałem. Nie zmieniła tego nawet szkoła. Dopóki chodziłem do szkoły w mojej miejscowości, do kolegów się godało, do „pani” się mówiło, ale tylko na lekcji, bo poza lekcją czasami nawet z „panią” można sobie było pogadać. Polska była w telewizji, w szkole, w książkach, była czymś dalekim i egzotycznym. Śląskość była czymś tak naturalnym, jak powietrze, którym się oddycha bezwiednie i którego się nawet nie zauważa, albo jak chleb, po który zawsze można było sięgnąć. Śląsk był w naszej pracy na polu u dziadków, w opowiadaniach o starszakah, którzy na gospodarce przeżyli sto lat, w ómie, która opiekowała się nami w zastępstwie rodziców, w parze gołębi, którą dziadek przeznaczał na obiad dla wnuków. Śląsk był też w zdziwieniu dziadka, który chciał sobie „wrobić emeryturę” pracując w PeGeeRze i nie mógł się nadziwić dialektycznemu cudowi komunizmu - „jak to się dzieje, że oni chodzą pijani, tyle dobra marnują, a ciągle mają pieniądze i prosperują”. Tylko czasami głosy dorosłych zamieniały się w szept, gdy ujkowie wieczorami rozprawiali o służbie w trzech armiach, wspominali o tym, jak było za Nymca, a jak za staryj Polski.

Czasami ta egzotyczna polskość objawiała się, jako coś wrogiego naszej śląskości, np. w postaci nasłanych z Częstochowy na urzędy „Poloków”, albo nawiedzonych nauczycieli polonizatorów. Ale to były raczej problemy dorosłych, zasłyszane w podsłuchanych mimowolnie rozmowach. Zresztą była jeszcze jedna bardzo istotna okoliczność. O to wszystko można było obwinić komunę. Gdy zaczynałem dorastać wybuchła w Polsce „Solidarność”. To sprawiło, że śląskość z polskością łatwo było mi pogodzić.

Moje pierwsze brutalne odczucie polskości nastąpiło, gdy po ukończeniu szkoły podstawowej poszedłem do ogólniaka w mieście. Nie przyszło mi do głowy, żeby moją etniczność przed kimkolwiek ukrywać. I spotkało mnie odrzucenie. Moja śląskość i większość zostały wydrwione. Pierwsze lata nauki w ogólniaku zapamiętałem jako doświadczenie upokorzenia. Najboleśniesz było to doznane ze strony rówieśników. I tu się zaciąłem. Nie wiem dlaczego, ale uparłem się, że nie będę się ani mojej mowy, ani mojego wiejskiego pochodzenia wstydził. Myślę, że odczuwałem jakieś poczucie osobistej godności, które nie pozwoliło mi wyprzeć się siebie. Kosztowało mnie to wiele bólu, ale przetrwałem. Byłem od nich zdolniejszy, pracowitszy, twardszy.

Mimo tego mocnego negatywnego doświadczenia nie nastąpiło we mnie jakiś radykalny konflikt między polskością i śląskością. Znowu o wszystko obwinałem komunę. Przeciwno komunie byliśmy wszyscy, bez różnicy polskojęzyczni i śląskojęzyczni. Byliśmy po jednej stronie barykady, po drugiej byli tzw. „oni”. Bohaterstwo, poświęcenie, zaangażowanie dla Sprawy, to wszystko pociągało, imponowało. Większość moich ówczesnych znajomych przewinęła się przez oazę. Na pielgrzymkach śpiewaliśmy „Pieśń konfederatów barskich”, nocami słuchaliśmy „Wolnej Europy” i z wypiekami na twarzy szeptaaliśmy sobie plotki o tym, gdzie ukrywa się Zbyszek Bujak. Polskę idealizowaliśmy. Łatwo było to zrobić, bo tej wolnej Polski nie było. Wydawało się nam, że jak tylko soweci się wyniosą, będzie u nas raj na ziemi.

Pamiętam, że kiedyś na lekcjach polskiego przerabialiśmy publicystykę Edmunda Osmańczyka, który z pozycji polskiego patrioty, a jednak dość krytycznie, wypowiadał się o Polakach, porównując ich z Niemcami, którzy właśnie przegrali wojnę. Wpisywało się to dość dobrze w propagandę schyłkowego okresu komuny, propagandę szukającą przyczyn upadku państwa w „wadach narodowych”. Pamiętam, że wtedy jako jedyny odważyłem się zaprotestować i zawzięcie polemizowałem z polonistką. Byłem jak Gabriel Basista, w filmie „Sól ziemi czarnej” oglądający Polskę z daleka, przez lunetę, jak marzenie, jak ludową baśń. Jedyna Polska, jaką wtedy znałem, to kilka wsi z moich okolic plus patriotyczno-heroiczna mitologia.

I ta wolna Polska do nas przyszła, została nam подарowana za darmo, jak manna z nieba zrzucona Żydom na pustyni. Ta wolna Polska do nas

Bezto tysz zrobili Ponboczek Kainowi taki mał, coby go niy zabiłi te co na niego trefiom. Potym poszou Kain weg od Ponboczka i miyszku we kraju Nod, na wschod od Edynu. Juzas potym Kain prziszou ran ku swojyj kobylicie, a ona poczynua i urodzioua Chanoka(Henocha). Kain postawiou potym miasto i mianowou je jako odniego syna: Chanok. Chanok bou fatrym od Irada. Irad juzas fatrym od Mechujaela., Mechujael miou Matuszaela,Matuszael juzas Lemka. Lemek wzion sie dwie kobyty; jednyj bouo Ada, drugyj Cilla(Silla). Ada urodzioua Jabala; od niego som wszystkie pasterze i te co miyszkaom pod celtoma. Od niego bratowi bouo Jubal; od niego som wszystkie kere poradom robic muzyka na citrze i flyjcie. Cilla - ona tysz urodzioua Tubal-Kaina; on bou kowolym; od niego som wszystkie kere poradom fajnie we zelozie i bronzie robic. Tubal-Kaim miou siostra Naama. Lamek pedziou do odniego kobyty: Ada a Cilla, suchejcie ino,co godom! Dejcie pozor zony Lemka co powia: Zabioubych chopu, za to ze mie zrani, i zabioubych bajtla - za kalnioka. Jak Kain miou byc siedym razy pomszczony, to Lamek siedym i siedymdziesiont razy! Adam prziszou jeszcze roz ran ze od niego kobyty i ona urodzioua mu syna, kerymu daua (miano) Set - potymu poczymu(tak godaua) - dali mi Ponboczek inkszego synka za Abła, kerego zabiou Kain. Tysz Setowi urodziou sie synek, kerymu dou (miano) Enosz. Na tyn czas zaczuo sie zwywanie imiynia Ponboczka.

Szwager

przyszła i rozczarowała. Roczczarowała mnie tak samo, jak pokolenie Gabrielów Basistów, do którego należał mój pradziadek powstaniec. I okazało się, że z tych naszych wszystkich ideałów nic nie zostało. Nagle Polacy zaczęli się modlić do sukcesu, idąc do niego po trupach sąsiadów, zamiast prostoty wybrali życie lekkie, łatwe, przyjemne i głupie a poświęcenie i solidarność zamienili na zasadę „śmierć frajerom”. I nie potrafiłem wpasować mojej śląskości w świat dobrze umotywowanych i „wartości swej w pełni świadomych” nosicieli telefonów komórkowych, cwanych polityków i pogrążonego w marazmie proletariatu, którego aktywność życiowa ogranicza się do drobnych oszustw, walenia pięścią w stół i krzyku „a mnie się należy, a myśmy sobie wywalczyli”. I pomyślało mi się, czy czasem Osmańczyk nie miał racji. I moja polskość topniała z każdym nowym zwycięstwem postkomuny, z każdą nową aferą narodowo-katolickiej „prawicy”, by niedawno ostatecznie lec w gruzach. I zacząłem czuć tę różnicę. Nie wiem, czy jestem Polakiem. Wiem na pewno, że nie jestem Polakiem standardowym, nie jestem takim Polakiem, jak inni. Górny Śląsk, przynajmniej ten, który znam i pamiętam, jest inny.

Moje rozczarowanie nie wiąże się tylko z inwazją Mac-świata. Wierzyłem głęboko w to, że wolna Polska weźmie moją śląską etniczność w obronę. Przecież przed wojną Śląsk miał szeroką autonomię. Nic takiego się nie stało a pod pewnymi względami jest gorzej, niż za komuny. Pamiętam, że w czasach komunistycznych Śląsk budził pewien respekt. Przedstawiano Ślązaków jako ludzi ciężkiej pracy, prostych, ale twardych i godnych szacunku. To wszystko zmieniło się po roku 1990. Nastała wprawdzie pewna moda na śląskość, ale śląskość tą odarto całkowicie z jej ducha, sprowadzając ją do swoistego śląskiego zoo, w którym można sobie pooglądać różne okazy prymitywnego folkloru. (I jest całkiem możliwe, że tylko takie zoo nam pozostanie, bo to prawdziwe zoo ponoć bankrutuje). Dzisiaj Śląsk postrzegany jest jako zatruta czarna dziura zasiedlona jakimiś zdegenerowanymi półgłówkami. Tak samo, jak przed laty, upokorzenie jest częstym doświadczeniem mówiącego po śląsku i przyznającego się do swojej etniczności.

Myślę, że Polacy nigdy Śląska nie zaakceptowali takim, jaki on jest, nie uznali go za część swojej polskości. Polacy zawsze traktowali Śląsk jako teren, który dopiero ma się na ich polskość nawrócić.

Polacy nigdy nie uznali za swoją naszą mowę. Gdyby było inaczej, nauczyciele polonistów nie byłiby trenowani, jak unikać śląskiego akcentu („... musisz mówić tak, żeby nikt nie poznał, że jesteś ze Śląska”) i jak oduczać dzieci mówienia po śląsku. Gdyby było inaczej, p. redaktor Smolorz nie musiałby się skarżyć, że urzędnicy w katowickim magistracie notorycznie przekręcają jego nazwisko zamieniając jego śląskie brzmienie na mniej drażniące dla polskiego ucha „Smolarz”.

Polacy nigdy nie uznali za swoją historii naszej ziemi. W szkolnych podręcznikach do nauki historii znajdziemy więcej informacji o rewolucji francuskiej i ekspansji kolonialnej Anglii niż o dziejach Śląska, które

przez sześć wieków toczyły się całkiem odmiennie od dziejów państwa polskiego. Dlatego po dwunastu latach demokracji śląskie miasta nadal zaludnione są ludźmi wykorzenionymi, w ogóle nie znającymi często bogatej przeszłości swych miejscowości, ich zabytków i pomników kultury. Jeśli naród przyrównalibyśmy do rodziny, to jego spisane dzieje moglibyśmy przyrównać do rodzinnego albumu ze zdjęciami, w którym dokumentuje się najważniejsze wydarzenia z życia bliskich osób. W tym albumie, którym jest spisana historia Polski, nie ma zdjęć ze Śląska. Wniosek ciśnie się na usta sam. Ludzie, którzy ten album układali nie uznali nas za swoich bliskich, za członków swojej narodowej rodziny.

Polska przejmując pod swoje zwierzchnictwo nowe ziemie na Zachodzie powinna była się poszerzyć nie tylko w sensie terytorialnym, ale także duchowym. Pojęcie polskości powinno zostać rozszerzone o Śląsk taki, jakim on był. Stało się jednak inaczej. Polska potraktowała Śląsk jako swego rodzaju „lebensraum” do zasiedlenia przez nowych standardowych Polaków. Chcemy ziemi, chcemy fabryki, chcemy domów, ale nie chcemy historii, kultury i języka mieszkańców tego terenu. Pod tym względem dzisiejsza Polska nie różni się od Niemiec Bismarcka. Mój pradziadek przystąpił do powstania nie po to, żeby Śląsk stał się jeszcze jednym Mazowszem albo jeszcze jedną Małopolską. Ryzykował życie po to, żeby Śląsk mógł pozostać Śląskiem i żeby nasza swojskość przetrwała. Jak mu się wtedy wydawało, dobrym sposobem na to było związanie się z Polską. Na początku byłem pełny zapału. Dałem tej wolnej Polsce duży kredyt zaufania. Czekałem, bo przecież wszystkiego nie uda się naprawić od razu. Czekałem dwanaście lat - okres wystarczająco długi, żeby przynajmniej coś zacząć i w ten sposób wyrazić swoje intencje. Teraz moja wiara we wsparcie ze strony Polski się wyczerpała. Wiem, że jeśli sami się nie upomniemy o swoje, zginiemy.

Moja śląska etniczność jest dla dzisiejszej Polski kłopotliwą historyczną zaszłością, jakimś „brakującym ogniwem” ewolucji prowadzącej do pełnego „powrotu na łono narodu”. Wolna Polska ignoruje tę etniczność przy podziale administracyjnym, przy układaniu programów szkolnych. Ślązaków wprawdzie nie wysiedla się już i nie zsyła na Ural, ale nie pozwala się trwać naszej tożsamości. Wolna Polska dąży do całkowitego zasymilowania mnie i moich pobratymców. Zasymilowania, czyli ujednolicenia w ramach ustandaryzowanej polskości. Zasymilowania, czyli wydarcia śląskości z serca mojego i moich ziomków. Proces ten nazywa się eufemistycznie „integracją”. Nie jesteśmy podmiotem wolnego polskiego państwa, jesteśmy w tym państwie w dalszym ciągu przedmiotem. Podmiot to ktoś, kto współdecyduje i ktoś **dla kogo** to państwo istnieje. Przedmiot to coś, **z czym** coś się robi bez pytania go o zdanie.

Najbardziej boli, gdy przykróść spotyka nas ze strony bliskich. Mnie najbardziej boli, że mojej śląskości w większości nie akceptują Polacy przyznający się do wiary w Boga i wyznający poglądy prawicowe. Moja śląskość w dużej części nie jest akceptowana w polskim Kościele.

Z grubsza rzecz biorąc polskość można rozumieć na dwa sposoby. Można ją rozumieć w sposób szeroki i otwarty, tak jak to było w Rzeczypospolitej z czasów jej świetności. W tej Rzeczypospolitej mieścił się niemieckojęzyczny Prusak Mikołaj Kopernik, ruska szlachta, żydowskie mieszczaństwo oraz wiele innych nacji i etniczności. W takiej Rzeczypospolitej doskonale zmieściłby się mój Śląsk. Istnieje też bardzo zawężone pojęcie polskości, które połączyło się po rozbiorach a utrwaliło w wieku dwudziestym. Pojęcie to każe rozumieć polskość jako jednakowość a w różnorodności etnicznej upatruje zagrożenie. „Racja stanu” uzasadnia więc rozmywanie i niszczenie etniczności. W tak rozumianej polskości nie ma dla mnie miejsca. W tym rozumieniu Polakiem nie jestem i nigdy nie byłem, ponieważ moja mowa, moja tradycja, moja świadomość nie przystawały i nie przystają do standardu.

Niestety wolna Polska, na którą czekałem, a szczególnie ta Polska prawicowa, prawdopodobnie ze strachu nowym, coraz wyraźniej przechyła się ku temu zamkniętemu i wąskiemu rozumieniu narodowości. Moja śląskość jest więc postrzegana jako niebezpieczna a mój upór staje się grzechem przeciwko narodowi. Patriotycznym i chrześcijańskim obowiązkiem Ślązaka jest poddanie się asymilacji.

I widzę, jak dzień po dniu ta moja swojskość-śląskość topnieje z jednej strony pod naporem Mac-świata w polskim opakowaniu, a z drugiej pod wpływem prawicowych, narodowych fobii.

Jaki więc sens ma dla mnie bycie Polakiem? Jaki sens ma dla mnie naród, który mnie nie akceptuje. Po co mi ojczyzna bez języka, tradycji i dziejów moich ojców. Jeśli organizujemy się razem w jedno państwo, to nie po to, żeby jedni narzucali coś drugim, ale po to, żeby nawzajem i razem chronić rzeczy, które są dla nas drogie. Polskość mogłaby mieć dla mnie

sens, ale tylko wtedy, gdyby wspierała moją śląskość i pomagała mi stać się w niej doskonalszym człowiekiem. A to już brzmi prawie jak zasada pomocniczości, znana z katolickiej nauki społecznej: Wspólnoty większe są moralnie godziwe, jeśli nie zastępują wspólnot mniejszych, ale wspierają je w tych zadaniach, których mniejsze wspólnoty nie są w stanie wypełnić.

Tymczasem póki co polskość wdziera się w moje życie i zamiast moją pierwotną śląskość wspierać, brutalnie żąda jej amputacji. Amputacja taka choć bolesna, jest możliwa. Tylko po co na miejsce amputowanej śląskości przyszywać ustandaryzowaną polskość. Tylko czy po takiej amputacji możliwa jest jeszcze jakakolwiek tożsamość narodowa albo etniczna. Dla mnie tożsamość nie może być czymś czysto utylitarnym („tam ojczyzna, gdzie lepiej”). Podstawą tożsamości musi być pewien związek emocjonalny z jakąś zbiorowością i jej kulturą. Jeśli mój związek emocjonalny ze śląskością zostałby przecięty, jakakolwiek tożsamość przyszyta na jego miejsce byłaby czymś sztucznym i bardzo płytkim. Tak pojęta polskość byłaby rzeczywiście tylko pewnym „interfejsem”, który umożliwia mi funkcjonowanie w otoczeniu Polaków i kontakt ze światem. Tak pojęta polskość byłaby przy tym czymś zupełnie przypadkowym, gdyż wynikałaby tylko z tego, że urodziłem się akurat tu i akurat w tym a nie innym czasie. Gdyby moi przodkowie zdecydowali się zgermanizować, byłbym Niemcem. Gdyby Prusy nie zabrały Śląska Austrii dwa i pół wieku temu, prawdopodobnie najbardziej naturalny byłby dla mnie „interfejs” czeski.

Tylko jeśli już decydujemy się na przeprowadzenie tej bolesnej operacji, to po co przyszywać akurat „interfejs” polski. Polski „interfejs”, być może jest lepszy od śląskiego, ale niesie ze sobą swoje własne ograniczenia. Jeśli mamy nasze dzieci uczyć języka, który nie jest nasz, to dlaczego ma to być „jedno z mniej znanych afrykańskich narzeczy”. Czy razem z „interfejsem” mamy przyswajać sobie wszystkie polskie fobie przed Wschodem i Zachodem i uprzedzenia wobec sąsiadów? O ileż lepszy byłby „interfejs” angielski albo niemiecki!

Przecięcie związku z tradycją przodków, w której człowiek wyrastał, w istocie prowadzi do „zglobalizowania się” i częściowo do nihilizmu. Prawdziwa tożsamość kształtuje się przez setki lat, przechodząc z pokolenia na pokolenie. Nie da się przeszczepić Mazowsza albo Małopolski na Śląsk. Chyba, że godzimy się na nihilizm. Myślę, że tu jest jedna z najpoważniejszych przyczyn kłopotów, jakie przeżywa obecnie wolna Polska a z nią Śląsk.

O cóż więc nam chodzi? Czy o pieniądze, czy o niepodległe państwo śląskie, czy o wyrzucenie z naszej ziemi obcych? Nie! Jak wszystko co żyje, po prostu chcemy trwać. Chcemy trwać nie tylko fizycznie. Chcemy trwać także duchowo a więc chcemy, żeby trwały rzeczy nam bliskie, nasza mowa, nasze obyczaje, nasza śląska swojskość, dzięki której oswajamy otaczającą nas przestrzeń i możemy czuć się w niej dobrze, znajdując w niej poczucie ładu, bezpieczeństwa i harmonii. Nie możemy zgodzić się na asymilację. Nie możemy zgodzić się na bycie jakimś niedoskonałym stanem przejściowym na drodze do pełnej polskości. Wiem, że śląskość istnieje i choć nie potrafię jej do końca sprecyzować, chcę ją zachować. Nie interesuje mnie, czy ktoś nazwie ją narodowością, etnicznością, językiem, dialektem, gwarą, czy jeszcze jakoś inaczej. Chcę, żeby trwała!

Jeśli chcemy śląskość zachować, musimy to działanie ukonkretnić. Ta nasza swojskość wymaga doprecyzowania. Musimy się zastanowić, co jest dla nas najważniejsze, co chcemy zachować lub twórczo przemienić, a czemu pozwalamy odejść do przeszłości. Wiadomo, że nie da się dzisiaj żyć tak, jak sto lat temu. Nasza nowa śląskość musi być na tyle elastyczna, żeby dostosowywać się do nowych czasów i okoliczności. Z drugiej strony musi być w niej na tyle dużo naszej swojskości, żebyśmy mogli ją postrzegać jeszcze jako coś swojego, a nie już jako coś obcego. Myślę, że zadowalająca odpowiedź na to pytanie nie została jeszcze podana. Być może dwanaście lat wolności, po których w dalszym ciągu nie wiadomo, czym okaże się być nowa Polska i czym Śląsk, to za mało, aby jakaś dobra idea mogła się wykluć.

Mac-świat proponuje nam wizję Śląska czysto ekonomiczną i utylitarną. Śląska traktowanego tylko jako pewna wspólnota interesów. Jest to wizja kraju bogatego, poprzecinanego autostradami po których suną szybkie auta i pełnego nowoczesnych budowli, ale zupełnie wypranego z naszej swojskości. No bo jak pogodzić ducha ograniczenia i ascezy, o którym pisał Bodzio, z dążeniem do sukcesu, jak pogodzić rodzinność z mobilnością a nasz twardy język z autoprezentacją.

Narodowa prawica i Kościół proponują wizję Śląska „wintegrowanego” w zunifikowaną Polskę, zamieszkałego przez Polaków takich samych, jak

w innych częściach kraju. Mamy zachować te swoje cechy, które są wartościami uniwersalnymi - mamy pozostać uczciwi, pracowici, rodinni. Zniknąć mają natomiast te rzeczy, które stanowią o naszej unikalności i wyróżniają nas z tłumu (z ewentualnym wyjątkiem dla paru cepeliowskich drobiazgów w charakterze listka figowego - żeby zadowolić tą zepsutą Europę, która ma jakieś dziwne odchylenie na punkcie regionalizmów). Zniknąć ma więc nasza mowa, nasza identyfikacja etniczna, czyli więc z tym kawałkiem ziemi, z jego dziejami, poczucie wspólnoty i przynależności do specyficznej tradycji. Mają one zostać zastąpione mową, identyfikacją i świadomością ogólnopolską. Nasza etniczność ma się roztopić w polskości, mamy ją złożyć narodowi w ofierze. Koncepcję tą nazwałbym koncepcją duchowego skonsumowania Śląska przez Polskę. Skonsumowania, czyli unicestwienia naszej śląskości poprzez zaabsorbowanie z niej tego, co Polacy uważają za korzystne dla siebie a wydalenie tego, co dla nich jest nieużyteczne. To skonsumowanie duchowe dopełniłoby skonsumowania materialnego i ekonomicznego, które już się dokonało. Ponieważ w ten sposób Śląsk ma zostać sprowadzony jedynie do pojęcia geograficznego, w istocie wizja ta jest wizją Polski bez Śląska. Tożsamości etnicznej i narodowej nie daje się wyjaśnić jedynie wartościami uniwersalnymi. Moja narodowość jest wartością tylko dla mnie i moich pobratymców, nie ma ona większego znaczenia np. dla Portugalczyka, podobnie jak jego portugalskość nie jest istotna dla mnie. Gdybyśmy mieli się opierać jedynie na wartościach uniwersalnych, wspólnych dla całej ludzkości (uczciwość, dobroć, pracowitość), konsekwentnie należałoby wraz ze śląskością zlikwidować wszystkie narody, także polski. Przy tym jest całkiem możliwe, że wraz ze zniknięciem naszej śląskiej identyfikacji etnicznej i naszej śląskiej mowy znikną także śląska uczciwość, pracowitość, rodzinność, a w ich miejsce pojawi się nihilizm. Niektórzy działacze naszych lokalnych elit (Związek Górnośląski) coś tam bredzą o jakiejś potrójnej tożsamości polsko-niemiecko-czeskiej. Może to i prawda, tylko że doświadczenie ostatnich lat pokazuje, że ta mityczna tożsamość jest jeszcze bardziej mglista i niekonkretna, niż moje opowiadanie o śląskości-swojskości. Jeśli chce się coś zrobić, najpierw trzeba skonkretyzować cel. Ponieważ przez dwanaście lat ta konkretyzacja nie nastąpiła, potrójna tożsamość stała się pustym hasłem do wykorzystania w przemówieniach wygłaszanych na organizowanych za pieniądze podatnika akademiach z okazji „kolejnej okrągłej rocznicy”. Ludzie skupieni wokół Ruchu Autonomii Śląska chcą chronić śląskościę poprzez wywalczenie autonomii dla regionu, a także przez formalnoprawne zalegalizowanie istnienia naszej etniczności jako narodowości. Obie te rzeczy będą zdecydowany opór ze strony Polaków. Autonomia i samorządność są rzeczą dobrą, tylko że jeśli chcemy autonomii, to zapewne nie dla niej samej, ale po to, żeby za jej pomocą coś osiągnąć. Jeśli chodzi tylko o więcej pieniędzy, to ta wizja nie odbiega za bardzo od wizji Mac-świata. Zapewne więc chodzi o coś innego. Otóż wydaje mi się, że w istocie chodzi o ochronę tej naszej swojskości, której jednak nie udało się założycielom stowarzyszenia skonkretyzować. W tej sytuacji słowo „autonomia” stało się pewnym wytrychem, ersatzem, w którym wyczu-

wam strach przed obcymi i dążenie do odseparowania się od nich. Sama autonomia, podobnie jak uznanie narodowości, nic nam nie da, jeśli nie będziemy wiedzieli, co z tym zrobić. Spróbujmy więc to nasze pragnienie zachowania swojskości skonkretyzować. Być może okaże się wtedy, że wiele możemy osiągnąć tymi narzędziami i środkami, jakie już mamy (np. samorząd gminny i powiatowy) bez antagonizowania ludzi nie poczuwających się do naszej śląskości a żyjących na Śląsku obok nas.

Do mnie najbardziej przemawia droga obrona przez Kaszubów. Uważam, że ostoja naszej nowoczesnej tożsamości powinna stać się mowa. Mowa ta musi jednak zostać uporządkowana i przetworzona w język literacki. Mojej śląskości nie chcę pojmować jako coś zamkniętego i mającego zastąpić polskość. Nie chcę się odcinać ani od kultury polskiej, ani niemieckiej, ani żadnej innej. Chcę, aby moja śląskość stała się pewną „wartością dodaną”, z której czerpać będą mogli inni. Do tej mowy dodałbym jeszcze pamięć o dziejach przodków, czyli historię, ale pełną a nie wybiórczą.

Marzy mi się Śląsk nie zunifikowany, ale wieloetniczny, na którym żyją w zgodzie ludzie uważający się za Polaków, za Niemców, za Ślązaków (niezależnie od tego, czy nazwiemy ich narodem, czy nie), a także wszystkie stany pośrednie. Chciałbym, aby wszystkie te społeczności wzajemnie się zaakceptowały, uszanowały swoje istnienie i umiały współpracować dla wspólnego dobra bez dążenia do zasymilowania kogokolwiek. Chciałbym, żeby zamiast słowa „integracja” zaczęto używać słowa „zgoda”.

Nie wymagajmy od ludzi deklaracji narodowych rozumianych w wąskim sensie i wzajemnie wykluczających się. Żyjąc w społeczeństwie wieloetnicznym człowiek wchodzi w relacje z członkami różnych narodowości, zaprzyjaźnia się z nimi, zakochuje się. Po pewnym czasie zaczyna z nimi współ-czuć, staje się trochę Niemcem, trochę Żydem, trochę Ukraińcem. Można być jednocześnie Polakiem i Żydem, można być jednocześnie Polakiem, Ślązakiem i Niemcem. To jest bardziej naturalne niż bycie tylko Polakiem. Wymaganie od takiego człowieka jednoznacznego opowiedzenia się po tej czy tamtej stronie jest tak beznadziejne, jak wymaganie od dziecka rozwodzących się rodziców, by zdecydowało, czy chce być z mamą, czy z tatą. Skoro jednak wybierać mi każą, staję zdecydowanie po stronie tego, co dla mnie bardziej wewnętrzne, pierwotne i naturalne - po stronie śląskości. Polskość przyszła do mnie jako coś wtórnego, a często tej mojej pierwotnej śląskości wrogięgo.

Myślę, że Śląsk taki, jaki mi się marzy, byłby szansą także dla Polski. Polacy niszcząc naszą i inne etniczności, choć sami tego nie rozumieją, okaleczają siebie i swój kraj. Mogliśmy i nadal możemy być „perłą w koronie” i „solą ziemi czarnej”. Lecz jeśli sól utraci swój smak, to czymże ją posolic ...

Józek Kulisz

Powyższy tekst, który ukazał się w periodyku "Bez Tytułu" (Wirek 9, czerwca 2002, Nr.4 71), jest pokłosiem próby rozmawiania o Śląsku i śląskości.

POLEMIKA

Chciałbym nawiązać do artykułu przesłanego przez Bronisława Wątrobę w związku z problemem zacieśniania współpracy pomiędzy Jak sam autor zauważa RAS i ZG nie są typowymi partiami mimo że zajmują się polityką, muszę przyznać że zgadzam się z tą wypowiedzią z autorem. RAS nie jest partia w sensie klasycznego podziału na prawica lewica, partie będące elementem tego podziału sednem ich działalności jest „mieć” obojętnie jak owo mieć zrozumiemy czy jako forma posiadanej władzy czy chęci zapewnienia dobrych warunków życia obywateli. RAS wymyka się podziałowi na lewicę i prawicę ponieważ jest tworzony przez ludzi o różnym światopoglądzie problemy, które prezentuje RAS są o wiele bardziej pierwotne dotyczą słowa „być” nie można mieć nie będąc a bycie jest niezbywalnym prawem ale jak się okazuje w praktyce przywilejem jednostki. Trochę zdumiewa mnie to w jaki sposób autor przechodzi obok tego problemu prześlizgując się obok niego stwierdzając że idea Autonomii woj. Śląskiego nie ma przeniesienia na dzisiejszy czas w niby nowej polskiej rzeczywistości. I stawia pod znakiem zapytania sens owej inicjatywy promowanej i akceptowanej przez rzeszę urodzonych tu Gór-

noślązaków i nie tylko ich zresztą. A tak bardzo tłamszonej przez media, które są całkowicie dyspozycyjne wobec Warszawy. W tym punkcie zresztą nie uciekniemy od historii, owa tzw. nowa Śląska rzeczywistość, komu ja zawdzięczamy, bo uproszczeniem byłoby cała winę skazywać na 50-letni ustrój socjalistyczny, czy część Polaków przybyłych tu masowo po 45 roku. Część owej rzeczywistości zawdzięczamy tzw. „Górnoślązkom”, którzy co prawda urodzeni na Śląsku i będący Ślązakami od pokoleń, przekupieni chwilowymi wpływami na różnych stanowiskach bądź to zaślepieni przez nienawiść do naszych niemieckich towarzyszy wyzbyli się tego, co stanowiło o idei Śląskości, tolerancji, otwartości, zrozumienia. Tacy Ślązacy są o wiele bardziej niebezpieczni niż gdyby cały polski parlament został zdominowany przez Ligę Polskich Rodzin w koalicji z ZCHN, Bo w ten sposób nie pozwalają na kreowanie jednolitej polityki Górnoślązaków wobec poczynań Warszawy, która tak dotkliwie odczuwamy, tym samym całe bogactwo tej ziemi jest spłycone do, jak by nie oceniać niedemokratycznych powstań śląskich, które odbyły się wbrew tutejszej ludności wyrażonej w plebiscycie. Zresztą, jeśli by je nawet chcieć w jakiś sposób szukać zrozumienia do owych „powstań” to nawet wśród obszarów gdzie Ślązacy wykazali pewne poparcie do państwa Polskiego. Po okresie kilku letnich „rządów” polskich te poparcie zmalało do

zera. Z G odpowiada w znacznej mierze za ten stan rzeczy mając pewne wpływy w mediach na początku lat 90-tych zmarnował te szanse nie tłumacząc pewnych procesów, jakie miały tu miejsce, zresztą nawet na początku lat 90-tych owa organizacja była o wiele bardziej wiarygodna do Ślązaków niż jest dzisiaj.

Ostatnie próby zmierzające do podważenia narodowości śląskiej czynionej przez liderów tej partii, lub wyrażania dezaprobaty do idei Autonomii z własnym rządem, parlamentem i wojewodą wybieranym w wyborach bezpośrednich, jako forma najbardziej pełnego upodmiotowienia Ślązaków a także Polaków zamieszkujących Górny Śląsk, kładzie się cieniem na jednostkowe deklaracje pojedynczych członków ZG ich chęci współpracy. Osobiście uważam że bez ustalenia tego czy ZG chce tego samego, co RAS owa współpraca może zaistnieć, ale tylko w wąskim obszarze, pyzatem nie musi okazać się trwała.

My Ślązacy nie powinniśmy mylić skutków i przyczyn na Śląsku nigdy nie będzie dobrze, zawsze będzie jeden wielki erzac, dopóki problemy Śląska i Ślązaków będziemy spłycać do przysłowiowych problemów materialnych. Dopóki nie zyskamy pełnej podmiotowości narodu śląskiego mogącej się wyrażać w mediach, szkołach, uczelniach, urzędach zapewnionej właśnie przez autonomię to zawsze będziemy się kręcić w kółko, zaś sama idea samorządności jest niewystarczająca dla mieszkańców tych ziem, biorąc pod uwagę historie tych ziem, a także z powodu ambicji tu-tejszych mieszkańców mających dość bycia zwykłymi parobkami na naszej ziemi dyspozycyjnymi wobec zmieniających się władców Górnego Śląska. Jeśli nie podejmiemy tego wyzwania godząc się z pokusom pasywności to w dzisiejszym zmieniającym się świecie biernością niewiele osiągniemy, skazując się na powolna marginalizację.

Chciałbym teraz coś zauważyć nie ma sportu tak bardzo odzwierciedlającego charakter poszczególnych nacji jak futbol. Skoro Górnoślązak M Kłose potrafi strzelać tak pięknie bramki tzn. że ma pewien potencjał, potencjał talentu wobec tego możemy twierdzić że my Górnoślązacy posiadamy również wystarczający potencjał by się usamodzielnąć, by nie musieć słuchać rad innych

Kiedyś podobna historie przechodziła Finlandia będąc pod Rosyjskim i Szwedzkim panowaniem jej elity były albo zruszczone lub zeszwedzczone zaś fiński był traktowany jako gwara szwedzka, lub, co gorsza rosyjska, aż pewnego momentu pewien lekarz postanowił zebrać i skodyfikować tą tzw. „gwarę” na podstawie, której Finowie zachowali swą kulturę wybijając się na niepodległość wobec swoich zaborców, dzisiaj powinniśmy o tym pamiętać, kiedy korzystamy z produktów firmy Nokia, bo gdyby nie ten lekarz to ta firma by nie powstała.

My nie mieliśmy tyle szczęścia, mamy natomiast to nieszczęście że jest ktoś taki jak Kutz, Simonides, Miodek, lub inni nie mniej istotni a odpowiedzialni za ta nasza Śląską rzeczywistość. Ludzie ci wypaczą obraz Górnego Śląska i Ślązaków.

Jednocześnie chciałbym powiedzieć, że nie jestem jeszcze członkiem RAS, choć jest wielce prawdopodobne że w jakimś czasie zgłoszę chęć uczestnictwa w szeregach tej organizacji, obecnie jestem jej wielkim sympatykiem. Pragnę również dodać, że rozumiem i podzielam wolę współpracy pomiędzy RAS a ZG. Uważam, że owa współpraca może przynieść naszej ojczyźnie G Śląskowi wiele dobrego, pod warunkiem że owej współpracy będzie przyświecać jedność celów.

Telstar

Cytowany powyżej list do redakcji Jaskółki Śląskiej (przedruk z www.RASlaska.org):

NIE DEMONIZOWAĆ ZWIĄZKU GÓRNOŚLĄSKIEGO

Szanowna Redakcjo

Czytając na Waszych łamach list zatytułowany "Ostrożnie z wyborczymi sojuszami" nie mogę oprzeć się przed napisaniem z mojej strony epistoły, która będzie polemiką z poglądami autora. Piszę to zaś jako wieloletni członek Związku Górnośląskiego, a nawet jego działacz na poziomie pod-

stawowym, czyli koła dzielnicowego.

Stowarzyszeń mniejszości niemieckiej, Związku Górnośląskiego, a i Ruchu Autonomii Śląska nie należy mylić z partiami politycznymi, choć oczywiście w ramach swych statutowych założeń od spraw polityki się nie odcinają. Niezależnie jednak od różnic statutowych, jest jedno co łączy ściśle te organizacje, a jest to po prostu miłość do Śląska. Na tym właśnie wiele można wspólnie budować, ale wydaje mi się że intencją autora listu nie jest takie wspólne budowanie, a raczej burzenie założeń wspólnych poczyniń. Posługuje się przy tym argumentacją zaczerpniętą z mediów, które niezawsze są przychylne ZG, zwłaszcza w dobie obecnej. Częściowo zresztą zgadzam się z jego zarzutami pod adresem ścisłego kierownictwa Związku Górnośląskiego, które w ostatniej dekadzie popeliło wiele błędów, ale przecież nie można tym samym dezawuować całego stowarzyszenia, skupionego w wielu kołach lokalnych. Część tych kół po dzień dzisiejszy działa bardzo aktywnie, służąc tym samym dobrze lokalnej społeczności. Ostatnie lata co prawda nieco przytłumiły aktywność szeregowych członków ZG, ale to właściwie efekt naszych ostatnich przeobrażeń. Aktywność obywatelska nie jest w Polsce obecnie specjalnie promowana. Zauroczeni amerykańskim czy zachodnim blichtrem, serwowanym nam bez umiaru przez media, cenimy dziś głównie pieniądze (choć nie zawsze uczciwie wypracowane), spryt (raczej cwaniactwo) i błyskotliwą karierę (wcale nie popartą umiejętnościami, wiedzą i doświadczeniem).

Na takim tle wszelka działalność lokalnych stowarzyszeń jest oazą autentycznego, obywatelskiego zaangażowania, czymś co należy pieczołowicie pielęgnować i stawiać innym za przykład. Aktywność tego typu służy bowiem budowaniu pomyślności naszego państwa, pobudzaniu poczucia odpowiedzialności za jego losy, tworzeniu autentycznej "rzeczypospolitej". Stowarzyszenia zaś powinny się w tym wzajemnie wspierać, a nie zwalczać się w imię pewnych różnic programowych.

Idea autonomii województwa śląskiego ma w naszym regionie historyczną rację bytu, ale takie spojrzenie "do tyłu" nie powinno chyba służyć przyszłości w sensie dosłownym, bo inne były realia polityczne w latach dwudziestych XX wieku, a inne są dzisiaj. Osobiście postrzegam tę ideę jako iskrę ognia, który służyć może budowie autentycznej samorządności we wszystkich regionach Polski, służyć może to rzeczywistemu upodmiotowieniu naszych województw. Choć to czysty przypadek, to przecież mamy obecnie identyczną liczbę województw jak Niemcy landów. Warto więc zadbać jeszcze o to, aby ich uprawnienia zbliżyć do uprawnień niemieckich landów. Jeżeli zaś w toku tych przeobrażeń zmieni się nieco wewnętrzny podział administracyjny Polski, to chyba tylko na lepsze.

Ruch Autonomii Śląska może w swych poczynaniach szczepić tę ideę początkowo zgodnie ze swoją nazwą na całym Śląsku, a więc w regionie historyczno-geograficznym leżącym w dorzeczu górnej i środkowej Odry, czyli od Katowic po Zieloną Górę. Teraz akurat jest najlepszy moment aby się za to zabrać. Doraźnie można wykorzystać tu nawet hasło "Głosujmy na Expo Wrocław 2010", czyli poprze ideę światowej wystawy w kulturalnej i duchowej stolicy Śląska.

Przy takim spojrzeniu na ideę autonomii, która służyć będzie stopniowemu upodmiotowieniu polskich regionów RAŚ z całą pewnością znajdzie sprzymierzeńców nie tylko na Śląsku, ale i w całym kraju. I jeśli nawet wtedy Związek Górnośląski tego nie poprze, to osobiście nie będę miał żalu do RAŚ o to, że jako prężna i emanująca swą obywatelskością organizacja, po prostu w nieodległej przyszłości może połączyć Związek Górnośląski. Byłoby to wtedy dla mnie czymś naturalnym.

Nie podzielam však postawy autora listu, który wychwalając RAŚ, a ganiąc ZG obawia się o to, że "gorszy" zniszczy "lepszego". Ja tego po prostu nie rozumiem.

Z wyrazami szacunku.

Bronisław Wątroba



GLANCSZCZEWIKI

W antryju szczewiki bez kromfleka wad-
zioły sie roz ze laczami
Kere łązioły z lepszymi gyrami ?
Zandale suchały ze strychu ,
A w siyni gumiołi obaloły sie prawie ze
śmijchu .
Harboły na czorno godzina
Kukały na gutalina :
„ Można bydymy zaś jak lakszuły
W niydziała omijać dziury ?
Niy ino na beztydzień
Pod hasiok łązić w bydzie ” .
Padała szmata objazdowo :
„ Co trep gupota nowo .
Wszyskech wos downo poznała ” .
I dalej do nich padała :
„ Na szfajfus woniocie , wom godom .
Szurocie jak noga za nogom .
Do zoków roz cera , roz dziura ,
Do blazów zaś flaster rymuja .
Niy aście sie dyćki szczewiki ,
Bo łązić bydziecie do kryki .
A kryka żyniato z kulawom je nogom .
Tak na to wom dzisiejs sam godom .
Nojlepszych poznała lakerki .
Do ślubu , abo na frełki .
Nojlepijy spominom bojlery .
Z fuzbalu zdrachane „ cholery ” .
Nojwiyncyj'ch se nimi cieszoła ,
Kej'ch fajnie z marasu czyściola .
Po meczu godały o golach ,
A jo im jak ino szło pszoła .
Jak elwry i eki szczylały ,
Bojlery mi przy tym godały .
A dzisiejs na stare lata ,
Synkowi ferszynkoł je tata .
Zaś w bała zagrać se mogom ,
Choć niyroz we zymbach z trowom .
Jo wiera meczów im życza ,
A za wos lebry sie chycza .
Maszkytne z antryja szczewiki ,
Suchejcie sam mojjj muzyki .
Egal czy stary , czy mody ,
Daleko niych żyje od mody .
Bo moda je tako motyka ,
Co z chopa robi chopczyka .
A z synka , za pora lot ,
Szykowny je bez nia dziod ” .
Pyrsk !

FRASZKI

"Cherubinowy wędrowiec" w duszy się kołacze
A na zewnątrz wciąż tylko ktoś skrzeczy i kracze
Choć niełatwa droga wije się przed nami
Anioła Ślázaka zdążajmy śladami.

ŻABA W BRZUCHU

Koždy z nos zno te uczucie
Koždy miol roz przeca strach
Te w żołondku śmieszne kucie
W brzuchu cosik robi krach
Kedyś jakś miol prowda pedzieć
Jakeś szkucioł , bajtłym boł
To eś dzióbek konsek smucioł
Abo gowa w piosek kroł
Dzisiaj chop żeś je szykowny
Na niydziała ancug mosz
A sam jużaś strach cie ściśnie
żaba wbrzuchu jużaś znosz
Ale rod żeś twojyż żabce
Tyn maszkytny stary frosz
On pokilo i polechce
Tyż jak lipście kusik dosz

RAPITOŁZA

Dziółcha utopca
Od niego tyż cera
Do rynki jom biera
A do niy sie śmieja
ślypia blank wielkie
Zielono , ślizgato
Rechoto a skoko
I ciepie mi oko
Chce od mie kusika
Jo chyba mom bzika
Kejch jom pocałował
Toch zaroz załował

WASERFLYJA

Blank mało ta flyja
A skuli niyż żyja
Kejch z wody powstował
Toch Homo sie stował

I.Cz.



NOCNYM DUDOM

Wagon Py Ka Py
jako baloniokowo fora
lod starzika z Raja
ciepie na boki -
to yno taki glajzy ...
Mama w doma, już
na progu lauby słyszec
jeji Zdrowaski, rolady
kluski i modro kapusta
w parzoku przirychowane
Noc slonsko
gynsto i zaczarowano
miesionczek, swiyntego kolko
nade holdom - czornom marom
co z widniokiym niy ufurgo
Cug jako tyn szif
na mlycznej sztrasie do niyba
kaj wrzałki piwo z miodym
a w zdzadle lokiyn
Slonsk Slonsk sie przeglondo.

NOCNYM NAZOD

Wagon Py Ka Py
jako cymbrano masniczka
lod starki z Raja
kolybie jak przodzi -
bo to taki glajzy ...
Mama w doma, jeszcze
na progu lauby słyszec
jeji z Pon Boczkiym
talyrze w befeju, tiszdeki
we szranku posklodane
Noc slonsko
tyngo i hypnoticzno
gwiozdy, wyrfliki rozanca
nade szybom - blyndnym rycerym
co z wiatrokiym niy poradzo
Cug jako tyn szif
na mlycznej sztrasie z niyba
bo wypite piwo z miodym
a w zdzadle lokiyn
Slonsk Slonsk sie spomino

Bernard Polednik

AMNEZJA

Gdy dzisiaj posel mierzy w hotel prezydenta
O zeszlórocznych swych wyborcach wcale nie pamięta
Marne pieczywo więc być może z tego ciasta
Niechaj Bóg broni przed nim wszystkie nasze miasta.

Bronisław WątrobaRedaguje zespół związany z www.EchoSlonska.comRedagiert die Gruppe um www.EchoSlonska.com

Kopiowanie i rozprowadzanie *Echa Slonska* jest dozwolone a nawet wskazane
przy zachowaniu jego redakcyjnej formy. Przejęcie fragmentów tekstów jest
dozwolone po podaniu źródła.

Das Kopieren und Verbreiten der vollständigen Ausgaben von *Echo Slonska* ist
erlaubt und so auch gewünscht.
Die Übernahme von Textausschnitten ist bei der Quellangabe gestattet.

Uwagi, spostrzeżenia, teksty do publikacji prosimy nadsyłać na adres:
redakcja@EchoSlonska.com.
Zapraszamy wszystkich do współpracy.

Bemerkungen, Anregungen und Beiträge zur Veröffentlichung bitte an
die Adresse: redakcja@EchoSlonska.com richten.
Wir laden alle zur Mitarbeit ein.